

1938



KALENDARZ
POŚLAŃCA
ŚW. ANTONIEGO
Z PADWY

M

Bolesław Banach

POŚŁANIEC

ŚW. ANTONIEGO Z PADWY

PISMO MIESIĘCZNE

poświęcone szerzeniu czci św.
Antoniego oraz szerzeniu wiary
i obronie jej, jest organem poboż-
nego Stowarzyszenia św. Antoniego
z Padwy, III Zakonu św. Franciszka
i Franciszkańskiego Związku
M i s y j n e g o

Prenumerata wynosi: rocznie **2 zł**, półrocznie **1 zł**,
kwartalnie **50 gr.** — W Ameryce **1 dolar**, w Niemczech
1 RM. — Cena pojedynczego numeru **20 gr.** — Adres
redakcji i administracji: **Lwów, ul. Janowska 66.** — Nr
konta P. K. O. **505.770.** — Nr telefonu **244-20.**

KALENDARZ

POŚLAŃCA
ŚW. ANTONIEGO
Z PADWY

NA ROK PAŃSKI 1938



Bolesław Bangsch

L W Ó W — 1938
WYDAWNICTWO POŚLAŃCA ŚW. ANTONIEGO

czos. 4549/1938,

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DIECEZJALNEJ I ZAKONNEJ

roqnaG walecieG

K 647/55/84

Święta Ruchome 1938 – 1951.

Rok	Środa Popielcowa	Wielkanoc	Zielone Świątki	Boże Ciało	Niedziela Adwentowa
1938	2 marca	17 kwietnia	5 czerwca	16 czerwca	27 listopada
1939	22 lutego	9 kwietnia	28 maja	8 czerwca	3 grudnia
1940	7 lutego	24 marca	12 maja	23 maja	1 grudnia
1941	26 lutego	13 kwietnia	1 czerwca	12 czerwca	30 listopada
1942	18 lutego	5 kwietnia	24 maja	7 czerwca	29 listopada
1943	10 marca	25 kwietnia	13 czerwca	24 czerwca	28 listopada
1944	23 lutego	9 kwietnia	28 maja	8 czerwca	3 grudnia
1945	14 lutego	1 kwietnia	20 maja	31 maja	2 grudnia
1946	6 marca	21 kwietnia	9 czerwca	20 czerwca	1 grudnia
1947	19 lutego	6 kwietnia	25 maja	5 czerwca	30 listopada
1948	11 lutego	28 marca	16 maja	27 maja	28 listopada
1949	2 marca	17 kwietnia	5 czerwca	16 czerwca	27 listopada
1950	22 lutego	9 kwietnia	28 maja	8 czerwca	3 grudnia
1951	7 lutego	25 marca	13 maja	24 maja	2 grudnia

ZAĆMIENIA W ROKU 1938.

W roku 1938 zdarzą się dwa zaćmienia słońca i dwa zaćmienia księżyca.

1. Całkowite zaćmienie księżyca w dniu 14 maja 1938 — w Europie środkowej nie spostrzegalne.

2. Całkowite zaćmienie słońca w dniu 29 maja 1938 roku — w Europie środkowej nie spostrzegalne.

3. Całkowite zaćmienie księżyca w dniu 7 i 8 listopada, które widzialnym będzie i w Europie środkowej. Początek dnia 7 listopada o godzinie 21 minut 40,8 — koniec zaćmienia dnia 8 listopada o godzinie 1 minut 11,9.

4. Częściowe zaćmienie słońca w dniach 21—22 listopada 1938 roku — w Europie środkowej nie spostrzegalne.

STYCZEŃ

Dni		Kalendarz Rzymski	Grecko.-kat.
1. Tydzień. Ew.: O obrzezaniu Pana Jezusa. (Łuk. 2, 21).			
1 S	Nowy Rok	☿	19 Hrudeń 1937
2. Tydzień. Ew.: Powrót Rodziny Św. z Egiptu. (Mat. 2, 19, 23).			
2 N	Naświętszego Imienia Jezus		20 Ihnatja
3 P	Genowefy, panny		21 Julianny
4 W	Tytusa, biskupa		22 Anastazji m.
5 Ś	Telesfora, pap. męcz.		23 10 Mucz. w K.
6 C	Trzech Króli		24 Jewhenii † w.
7 P	Lucjana, męcz.		25 Rożd. Chrysta
8 S	Seweryna, opata		26 Sob. pr. Bohor.
3. I. po Trzech Kr. Ew.: Jezus w świątyni. (Łuk. 2, 42-52).			
9 N	Najświętszej Rodziny	☿	27 Stefana mucz.
10 P	Agatona, pap.		28 2000 Mucz. w N.
11 W	Hygina, pap. męcz.		29 SS. Mładenc.
12 Ś	Arkadiusza, męcz.		30 Anyzji mucz.
13 C	Marty, panny		31 Melanii
14 P	Hilarego biskupa		1 Siczeń NR. 1938
15 S	Pawła, pustelnika		2 Sylwestra
4. N. po Trzech Kr. Ew.: O Kanie Galilejsk. (Jan 2, 1-11).			
16 N	Marcelego, pap. męcz.	☿	3 Małachyja pr.
17 P	Antoniego, opata		4 Sobor 70 Ap.
18 W	Katedry Św. Piotra w Rzymie		5 Naw. Boh. †
19 Ś	Kanuta, króla i męcz.		6 Bohoj. Hosp.
20 C	Fabiana i Sebastiana, męcz.		7 Sobor. ś. Joana
21 P	Agnieszki, męcz.		8 Heorhija
22 S	Wincentego, męcz.		9 Polyjewka
5. N. III po T. Kr. Ew.: Jezus uzdrawia trędowat. Mat. 8, 1-13).			
23 N	Raimunda, wyznawcy	☿	10 Hryhoryja
24 P	Tymoteusza, bisk. męcz.		11 Teodozyja
25 W	Nawrócenie św. Pawła		12 Tatiany m.
26 Ś	Polikarpa, bisk. męcz.		13 Ermyła
27 C	Jana Złotoustego, bisk.		14 SS. Otec. w S.
28 P	Piotra Nolasco, wyznawcy		15 Pawła i Joana
29 S	Franciszka Salezego, bisk.		16 Wer. ś. Petra
6. N. IV po Tr. Kr. Ew.: O burzy na morzu. (Mat. 8, 23-27).			
30 N	Martyny, panny męcz.	☿	17 Antonija
31 P	Jana Bosko, wyznawcy		18 Atanazyja

„Silniejszą obręczą jest miłość niż groza“.

H. Sienkiewicz („Quo Vadis“).

Z a p i s k i.

RADY DLA GOSPODARZY.

Choć w zimie ziemia wypoczywa pod śniegiem i na polu nic robić nie można, gospodarz nie powinien zakładać rąk bezczynnie, ale przygotować się do pracy wiosennej. Trzeba wykorzystać czas, aby później praca szła łatwiej. A więc: młócić najpierw zboże, zaś koniczynę nasienną młócić w czasie mrozów suchych. Zazwyczaj w zimie ścina się drzewo i zwozi, bo zwózka tania. Otóż na budulec najlepiej ścinać drzewo w grudniu i styczniu, do połowy lutego najdalej. Drzewo wówczas ścięte jest trwałe.

Nawóz można wywozić — na daleko położone zagony, ale tylko na wielką kupę. Nigdy na małe kupki, tym mniej rozrzucać po śniegu, bo wiosenne roztopy uniosą i zniszczą jego siłę odżywczą dla ziemi.

Jeśli ziemniaki zimują w kopcach na polu — można w południe udostępnić im dopływ świeżego powietrza, celem zapobieżenia wyrastaniu i gnłciu.

„Kto rano wstaje — temu Pan Bóg daje“.

(Przysł. lud.)

L U T Y

Dni	Kalendarz Rzymski	Grecko.-kat.
1 W	Ignacego, bisk. męcz.	19 Makaryja
2 Ś	Oczyszczenie N. M. Panny	20 Ewtymyja
3 C	Błażeja, bisk.	21 Maksyma pr.
4 P	Ansgarego, bisk.	22 Tymoteja ap.
5 S	Agaty, panny męcz.	23 Kłymentia
7. N. V po Tr. Kr. Ew.: O kąkolu i pszenicy. (Mat. 24, 24-30).		
6 N	Doroty, panny męcz.	24 Kseni pr.
7 P	Romualda, opata	25 Hryhoryja
8 W	Jana z Maty, wyzn.	26 Ksenofonta
9 Ś	Apolonii, panny męcz.	27 Peren. ś. Joana
10 C	Scholastyki, panny	28 Jefrema pr.
11 P	Objaw. się NPM w Lourdes	29 Ihnatyja
12 S	Eulalii, panny	30 Troch Świat.
8. N. Starozapust. Ew.: O robotnik. w winnicy. (Mat. 20, 1-16).		
13 N	Stefana, opata	31 Kyra i Joana
14 P	Walentego, męcz.	1 Luteń. Tryfona
15 W	Faustyna i Jowity, męcz.	2 Stritenje Hosp.
16 Ś	Julianny, panny męcz.	3 Symeona
17 C	Juliana, męcz.	4 Izydora
18 P	Symeona, bisk. męcz.	5 Ahafii
19 S	Konrada, wyznawcy	6 Wukoła
9. N. Mięsopestna. Ew.: O nasieniu i roli. (Łuk. 8, 4-15).		
20 N	Leona, bisk.	7 Parftenija
21 P	Maksymiliana, bisk.	8 Teodora
22 W	Kat. św. Piotra w Antiochii	9 Nykifora
23 Ś	Piotra Damiana bisk.	10 Charlampyja
24 C	Macieja, Apostoła	11 Własyja
25 P	Walburgii, panny	12 Meletyja
26 S	Nestora, bisk. męcz.	13 Martyniana
10. N. Zapustna. Ew.: Przepowiednia Męki. (Łuk. 18, 31-42).		
27 N	Gabriela, kler. wyzn.	14 Awksentyja
28 P	Antonii, wdowy	15 Onysyma

„Co śmierć wykosi, miłość posieje : i to jest życie“.

H. Sienkiewicz („Rodz. Połan.“).

Z a p i s k i.

RADY DLA GOSPODARZY.

W lutym dokończyć młocki zboża — wywieźć nawóz — zwozić drzewo budowlane — jeśli potrzeba.

Gdy łąki odtają, zbronować je. Bronowanie wydziera mech, (który należy zgrabić i zebrać) i pobudza trawę do rozrostu.

„Kto z Bogiem — Bóg z nim“.

(Przysł. lud.)

M A R Z E C

Dni	Kalendarz Rzymski	Grecko.-kat.
W	Albina, bisk. wyzn.	16 Pamfyła
2 Ś	Środa Popielcowa ☾	17 Teodora
3 C	Kunegundy, cesarzowej	18 Lwa pap.
4 P	Uroczystość taj. Drogi Krzyż.	19 Archipa
5 S	Fokasa, męcz.	20 Lwa ep.
11. N. I Postu. Ew.: Pan Jezus na puszczy. (Mat. 4, 1-11).		
6 N	Perpetui i Felicyty, męcz.	21 Tymoteja
7 P	Tomasza z Akwinu, wyzn.	22 SS. Mucz. w E.
8 W	Jana Bożego, wyzn.	23 Polykarpa
9 Ś	Franciszki Rzymianki, wdowy	24 Ob. hł. ś. Joana
10 C	40 Męczenników ☾	25 Tarasyja
11 P	Konstantyna, wyzn.	26 Porfiryja
12 S	Grzegorza, papieża	27 Prokopa
12. N. II Postu. Ew.: O Przemienieniu Pańskim. (Mat. 17, 1-9).		
13 N	Krystyny, panny męcz.	28 Wasylija
14 P	Matyldy, wdowy	1 Ber. Jewdokji
15 W	Longina, męcz.	2 Teodora
16 Ś	Cyriaka, męcz. ☾	3 Jewtropyja
17 C	Jana Sarkandra, męcz.	4 Harasyma
18 P	Cyryła, bisk.	5 Konona
19 S	Św. Józefa Oblubieńca NMP.	6 42 SS. Mucz.
13. N. III Postu. Ew.: Kto nie jest zemną. (Łuk. 11, 14-28).		
20 N	Eufemii, męcz.	7 Wasylija
21 P	Benedykta, opata	8 Teofylakta
22 W	Katarzyny, wdowy	9 40 SS. Mucz.
23 Ś	Wiktoria, męcz.	10 Kondrata
24 C	Gabriela, Archanioła ☾	11 Sofronija
25 P	Zwiastowania NPM.	12 Teofana
26 S	Ludgera, bisk.	13 Nykifora
14. N. IV Postu. Ew.: Rozmnożenie chleba. (Jan 6, 1-15).		
27 N	Jana Damascena, wyzn.	14 Wenedykta
28 P	Sykstusa, papieża	15 Ahapja
29 W	Eustazego, opata	16 Sawyna m.
30 Ś	Amadeusza, wyzn.	17 Aleksyja
31 C	Balbiny, męcz. ☾	18 Kyryła

„Najenergiczniejszy człowiek potrzebuje, by go ktoś kochał. Inaczej czuje w sobie śmierć i jego energia zwraca się przeciw życiu“.

H. Sienkiewicz („Rodz. Połan.“).

Z a p i s k i.

RADY DLA GOSPODARZY.

W tym miesiącu trzeba odprowadzić wodę z ozimin, jeśli się nagromadziła z roztopów.

Jeżeli panuje pogoda i jest sucho, uprawiać ziemię pod jarzyny. Ale z siewem jarzyn nie spieszyć się, bo jeszcze zima może wrócić.

W domu kończyć przędzenie, darcie pierza, bo w polu wnet się rozpoczną roboty. Przygotować ziemniaki do sadzenia.

„Kogo Pan Bóg miłuje — tego krzyżuje“.

(Przysł. lud.)

K W I E C I Ą

Dni	Kalendarz Rzymski	Grecko.-kat.
1 P	Teodory, męcz.	19 Chryzanta
2 S	Franciszka a Paulo, wyzn.	20 Prep. Ot. Sawy
15. N. Meki Pańsk. Ew.: Któż z Was dowiedzie. (Jan 8, 46-59).		
3 N	Ryszarda bisk.	21 Jakowa pr.
4 P	Izydora, bisk.	22 Wasylija
5 W	Wincentego, wyzn.	23 Nikona
6 Ś	Celestyna, papieża	24 Zacharji pr.
7 C	Epifaniasza, bisk. męcz.)	25 Błahow. P. Boh.
8 P	Siedmiu Boleści NMP.	26 Hawryła
9 S	Maryi Kleofasowej	27 Matrony
16. N. Palmowa. Ew.: Wjazd do Jerozolimy. (Mat. 21, 1-9).		
10 N	Ezechiela, proroka	28 Hariona
11 P	Leona Wielkiego, papieża	29 Marka
12 W	Juliusza, papieża	30 Joana
13 Ś	Hermenegilda, męcz.	31 Ipatyja
14 C	Wielki Czwartek (P)	1 Kwit. Marji Eh.
15 P	Wielki Piątek	2 Tyta
16 S	Wielka Sobota	3 Nykity
17. N. Zmartwych. P. Ew.: Pan Zmartwywstał. (Mat. 16, 1-7).		
17 N	Zmartwychwstania Pańsk.	4 Josyfa pr.
18 P	Poniedziałek Wielkanocny	5 Teodula
19 W	Krescencjusza, wyzn.	6 Jewtychija
20 Ś	Wiktora, męcz.	7 Hrehoryja
21 C	Anzelm, bisk.	8 Czetwer Weł.
22 P	Agapita, papieża (C)	9 Piatnycia Weł.
23 S	Wojciecha, bisk. męcz.	10 Subota Weł.
18. N. Biała. Ew.: O niewiernym Tomaszu. (Jan 20, 19-31).		
24 N	Fidelisa, męcz.	11 Woskres. Hosp.
25 P	Marka, Ewangelisty	12 Poned. Woskr.
26 W	Matki Boskiej Dobrej Rady	13 Wtorok Woskr.
27 Ś	Piotra Kanizego, Dokt. Kość.	14 Martyna pap.
28 C	Pawła od Krzyża, wyzn.	15 Arystarcha
29 P	Piotra, męcz. (P)	16 Ahafii
30 S	Katarzyny z Sieny, dziewicy	17 Symeona

„Można być wrogiem prawdy, ale obojętnym dla niej nikt być nie potrafi“.

H. Sienkiewicz („Quo Vadis“).

Z a p i s k i.

RADY DLA GOSPODARZY.

Oranie i siew: jarki, grochu owsa, jęczmienia, lnu, koniczyzny w ozi-
minie. Walcować ziemię lekką, by zapobiec wysychaniu. Siać rozsądę.
Bydłu roboczemu dawać lepszą paszę, bo po zimie jest słabe do pracy.
Dla gospodyń teraz pora nasadzić kury, kaczki, gęsi. Wymyć i wybielić
dom. Bielić płótno.

„Gdzie cię lubią — tam rzadko bywaj“.

(Przyst. lud.)

M A J

Dni	Kalendarz Rzymski	Grecko.-kat.
19. N. II po Wielk. Ew.: O dobrym Pasterzu. (Jan 10, 11-16).		
1 N	Filipa i Jakóba, Apost.	18 Joana
2 P	Zygmunta, męcz.	19 Joana pr.
3 W	NPM. Król. Korony Polskiej	20 Teodora
4 Ś	Uroczystość Opieki św. Józefa	21 Janunaria
5 C	Piusa V., papieża	22 Teodora, Sal.
6 P	Jana w oleju	23 Heorhija
7 S	Floriana, męcz.	24 Sawy mucz.
20. N. III po Wielk. Ew.: O chwili maluczkiej. (Jan 16, 16-22).		
8 N	Stanisława, bisk. męcz.	25 Marka ap.
9 P	Grzegorza Nazjańskiego, bisk.	26 Wasylija
10 W	Gordiana i Epimacha, męcz.	27 Symeona
11 Ś	Mamerta, bisk.	28 Jasona ap.
12 C	Pankracego, męcz.	29 9 Mucz. w Kaz.
13 P	Serwacego, bisk.	30 Jakowa
14 S	Bonifacego, bisk.	1 Traw. Jeremii
21. N. IV po Wielk. Ew.: „Idę do Ojca“. (Jan 16, 5-14).		
15 N	Zofii, wdowy	2 Atanazyja
16 P	Jana Nepomucena, męcz.	3 Teodozycja
17 W	Paschalisa, wyzn.	4 Pełahii
18 Ś	Feliksa, wyzn.	5 Iryny
19 C	Piotra Celestyna, papieża	6 Jowa prep.
20 P	Bernardyna z Sieny, wyzn.	7 Jawł. Cz. Kr.
21 S	Tymoteusza, ucznia apost.	8 Joana Boh.
22. N. V po Wielk. Ew.: „Proście a otrzymacie“. (Jan 16, 23-30).		
22 N	Rity, wdowy	9 Nykołaja
23 P	Dezyderiusza, bisk. męcz.	10 Symeona ap.
24 W	Joanny, wdowy	11 Mokyja
25 Ś	Urbana, papieża	12 Jepyfamija
26 C	Wniebowstąpienia Pańskiego	13 Hłykerii m.
27 P	Bedy, Dokt. Kość.	14 Izydora
28 S	Augustyna, bisk.	15 Pachomyja
23. N. VI po Wielk. Ew.: O duchu Prawdy. (Jan 15, 26-27 i 16).		
29 N	Maryi Magd. de Pazzis	16 Teodora, Mod.
30 P	Feliksa, pap. męcz.	17 Andronika
31 W	M. B., Wszelkich łask Pośred.	18 Teodota

„Każda dusza czysta obawia się, czy spełnia jak należy obowiązek“.

H. Sienkiewicz („Na jedną kartę“).

Z a p i s k i.

RADY DLA GOSPODARZY.

Koniec siewu jarych roślin, również ziemniaków i buraków. Pora na sadzenie kapusty i brukwi, bo późno sadzone, nie rozwiną się. Po skończonych siewach kopać i oczyszczać rowy, gdzie zachodzi potrzeba. Naprawiać drogi i mosty. Drogi obsadzić — gdzie nie ma innych drzew — wierzbami.

„Cokolwiek czynisz, czynź roztropnie i patrz końca“.

(Przysł. łac.)

CZERWIEC

Dni	Kalendarz Rzymski	Grecko.-kat.
1 Ś	Jakóba Strzeżmie, bisk.	19 Patrykja
2 C	Marcelina i Piotra, męcz.	20 Woznes. Hosp.
3 P	Klotyldy, królowej	21 Konstantyna
4 S	Franciszka, wyznawcy	22 Wasyłyska
24. N. 7 po Wielk. Ew.: O Duchu Św. Pocieszyc. (Jan 14, 23-31).		
5 N	Zielone Świątki	23 Mychajła
6 P	Poniedziałek Świąteczny	24 Symeona
7 W	Norberta, opata	25 Ob. hł. ś. Joana
8 Ś	Maksymina, bisk.	26 Karpa ap.
9 C	Pelagii, dziewicy męcz.	27 Teraponta
10 P	Bogumiła, bisk.	28 Mykity pr.
11 S	Barnaby, Apostoła	29 Teodozji
25. N. 1 po Świątkach. Ew.: Wysłanie Apostołów. (Mat. 28, 8-20).		
12 N	Trójcy Przenajświętszej	30 Sosz. ś. Ducha
13 P	Antoniego Padewskiego	31 Preśw. Trojcy
14 W	Bazylego bisk.	1 Czerw. Justyna
15 Ś	Jolanty, dziew.	2 Nykifora
16 C	Boże Ciało	3 Łukyjana
17 P	Montana męcz.	4 Mytrofana
18 S	Efrema, Dokt. Kośc.	5 Doroteja
27. N. 2 po Świątkach. Ew.: O wielkiej uczcie. (Łuk. 14, 16-24).		
19 N	Gerwazego i Protazego, męcz.	6 Wysarjona
20 P	Florentyny, dziewicy	7 Teodota
21 W	Alojzego Gonzagi, wyzn.	8 Teodora
22 Ś	Paulina, bisk.	9 Kyryła
23 C	Agrypiny, dziewicy męcz.	10 Preśw. Euchar.
24 P	Urocz. N. Serca P. Jezusa	11 Wartołomeja
25 S	Wilhelma, opata	12 Onufryja
27. N. 3 po Świątkach. Ew.: O drachmie. (Łuk. 15, 1-10).		
26 N	Jana i Pawła, męcz.	13 Akyłyny
27 P	Władysława, króla	14 Elyseja pr.
28 W	Ireneusza, bisk. męcz.	15 Amoza
29 Ś	Piotra i Pawła, Apostołów	16 Tychona
30 C	Wspomnienia św. Pawła, Ap.	17 Manuiła

„Wy, wielcy ludzie, jesteście pełni prostoty“.

H. Sienkiewicz („Czyja wina“).

Z a p i s k i.

RADY DLA GOSPODARZY.

W tym miesiącu rozpoczynają się sianokosy. Okopywać ziemniaki, plewić len i warzywa, bo później padają deszcze i chwasty bujnie rosną. W stodole naprawić klepisko (doły), podwórze wyrównać, opatrzyć dachy, by deszcz nie zaciekał — wyprzątać stodołę, przygotować narzędzia do żniw.

„Przed tym, co oszczędza — ucieka nędza“.

„Kto trwoni — rychło ją dogoni“.

(Przyst. lud.)

L I P I E C

Dni	Kalendarz Rzymski	Grecko.-kat.
1 P	Najdroższej Krwi P. Jezusa	18 Pr. Sercia Isusa
2 S	Nawiedzenia NMP.	19 Leontyja
28. N. 4 po Świątkach. Ew.: Połów ryb. (Łuk. 5, 1-11).		
3 N	Anatola, bisk.	20 Metodyja
4 P	Teodora, bisk.	21 Juljana
5 W	Antoniego Zakkaria, wyzn.	22 Jewsewyja
6 Ś	Izajasza, proroka	23 Ahrypiny m.
7 C	Cyryla i Metodogo, bisk.	24 Rożdż. ś. Joana
8 P	Elżbiety Portugalskiej, król.	25 Fewronii
9 S	Weroniki de Julianis, dziewicy	26 Dawyda
29. N. 5 po Świątkach. Ew.: O sprawiedliwości. (Mat. 5, 20-24).		
10 N	7 Braci Męczenników	27 Samsona
11 P	Piusa, papieża męcz.	28 Kyra i Joana
12 W	Jana Gwalberta, opata	29 Petra i Pawła
13 Ś	Anakleta, pap. męcz.	30 Sobor. 12 Ap.
14 C	Bonawentury, bisk. i dokt.	1 Łypeń. K. i D.
15 P	Najśw. Grobu Pana Jezusa	2 Poł. Ryz. Boh.
16 S	Najśw. Maryi Panny Szkap.	3 Jakynta
30. N. 6 po Świątkach. Ew.: O nakarmieniu rzesz. (Mar. 8, 1-9).		
17 N	Aleksego, wyznawcy	4 Andreja
18 P	Szymona z Lipnicy, wyzn.	5 Kyryła i Metod.
19 W	Wincentego a Paulo, wyzn.	6 Atanazyja
20 Ś	Hieronima Emiliani, wyzn.	7 Tomy pr.
21 C	Praksedy, dziewicy	8 Prokopyfa
22 P	Maryi Magdaleny, pokutnicy	9 Pankratyja
23 S	Apolinarego, bisk. męcz.	10 Antonija
31. N. 7 po Świątkach. Ew.: O fałsz. prorokach. (Mat. 7, 15-21).		
24 N	Kunegundy, księżnej	11 Ewfemji, Olhy
25 P	Jakóba, Apostoła	12 Prokla, Harjona
26 W	Anny, Matki Najśw. M. Panny	13 Sobor. Hawryła
27 Ś	Natalii i tow., męcz.	14 Akyły, Onys.
28 C	Inocentego, pap. męcz.	15 Wołodymyra
29 P	Marty, dziewicy	16 Atynogena
30 S	Rufina, męcz.	17 Maryny
32. N. 8 po Świątkach. Ew.: O nieucz. włodarzu. (Łuk. 16, 1-9).		
31 N	Ignacego Lojoli, zakonodaw.	18 Jakynta

„Niepewność stanowi... ponętę życia“.

H. Sienkiewicz („Quo Vadis“).

Z a p i s k i.

RADY DLA GOSPODARZY.

Rozpoczynają się żniwa. Pracy jest dużo, więc wykorzystać każdy czas, bo co zrobione to nasze, a co nie, niepewne. Uwijać się w polu, gdy pogoda dopisuje, pomagać też sąsiadom chętnie. Mimo tych robót nie zapominać o ziemniakach i warzywach.

„Jak Kuba Bogu — tak Bóg Kubie“.

(Przysł. lud.)

S I E R P I E Ń

Dni	Kalendarz Rzymski	Grecko.-kat.
1 P	Św. Piotra w okowach	19 Makryny
2 W	Najśw. Maryi Panny Anielsk.	20 Hyji pr.
3 Ś	Znalezienie rel. św. Szczepana	21 Joana Symeona
4 C	Dominika, zakonodawcy	22 Marji Mahdał.
5 P	Matki Boskiej Śnieżnej	23 Trofyma
6 S	Przemienienia Pańskiego	24 Borysa i Chliba
33. N. 9 po Świątkach. Ew.: O zburzeniu Jeroz. (Łuk. 18, 41-47).		
7 N	Kajetana, wyznawcy	25 Usp. ś. Anny
8 P	Ptolomeusza i Romana, męcz.	26 Jermołaja
9 W	Firma i Rustyka, męcz.	27 Pantelejmona
10 Ś	Wawrzyńca, męcz.	28 Prochora
11 C	Tyburcjusza i Zuzanny, męcz.	29 Kałynyka
12 P	Klary, dziewicy	30 Syły ap.
13 S	Hipolita, męcz.	31 Jewdokyma
34. N. 10 po Świątkach. Ew.: Faryzeusz i Celnik. (Łuk. 18, 9-14).		
14 N	Euzebiusza, kapłana	1 Serp. Poh. cz. K.
15 P	Wniebowzięcia Naj. M. P.	2 Stefana
16 W	Joachima, Ojca N. Maryi P.	3 Izaakija
17 Ś	Jacka, wyznawcy	4 7 Mładenc. w E.
18 C	Heleny, cesarzowej	5 Ewsychyja
19 P	Ludwika z Tuluzy, bisk.	6 Preobr. Hosp.
20 S	Bernarda, opata	7 Dometyja
35. N. 11 po Świątkach. Ew.: O głuchoniemym. (Mar. 7, 31-37).		
21 N	Joanny Fremiot, wdowy	8 Emyłjana
22 P	Siedmiu Radości Najśw. M. P.	9 Mateja ap.
23 W	Filipa Benicjusza, wyzn.	10 Ławrentyja
24 Ś	Bartłomieja, Apostoła	11 Jewpła
25 C	Ludwika, króla	12 Fotyja
26 P	Matki Boskiej Częstoch.	13 Maksyma
27 S	Józefa Kalasantego, wyzn.	14 Mycheja pr. †
36. N. 12 po Świątkach. Ew. O Samarytaninie. (Łuk. 10, 23-37).		
28 N	Augustyna, bisk.	15 Uspen. Bohor.
29 P	Ściecia św. Jana Chrzciela	16 Per. Obr. n. Hn.
30 W	Róży Limańskiej, panny	17 Myrona
31 Ś	Rajmunda, wyznawcy	18 Flora i Ławra

„Miłość się oddaje — nie odbiera“.

H. Sienkiewicz („Quo Vadis“).

Z a p i s k i.

RADY DLA GOSPODARZY.

Spieszyć się ze zwózką zbóż, sprzątać len i konopie i moczyć je i suszyć. W dnie słotne młócić żyto i pszenicę do siewu i na chleb. Już można ziemniaki młode podbierać „dłubać“ lecz tak, by nie uszkodzić krzaku, inaczej ten nie żywi należycie bulwy i plon mniejszy.

„Stara miłość nie rdzewieje“.

(Przysł. lud.)

W R Z E S I E Ń

Dni	Kalendarz Rzymski	Grecko.-kat.
1 C	Idziego, opata, Bronisławy ☽	19 Andreja
2 P	Stefana, króla	20 Samuila
3 S	Szymona, słupnika	21 Tadeja ap.
27. N. 13 po Świętkach. Ew.: O 10 trędowatych. (Łuk. 17, 11-19).		
4 N	Rozalii, panny	22 Agatonika
5 P	Wawrzyńca Justiniani, bisk.	23 Łupa, Iryneja
6 W	Zachariasza, proroka	24 Ewtychyja
7 Ś	Reginy, dziewicy męcz.	25 Tyta ap.
8 C	Narodzenia N. Maryi P.	26 Adryana
9 P	Gorgoniusza, męcz. ☿	27 Pimena
10 S	Mikołaja z Tolentynu, męcz.	28 Mojseja
38. N. 14 po Świętkach. Ew.: Bóg troszczy się. (Mat. 6, 24-33).		
11 N	Prota i Jacka, męcz.	29 Usik. hł. ś. Joana
12 P	Imienia N. Maryi Panny	30 Aleksandra
13 W	Filipa, męcz.	31 Poł. Poj. Pr. B.
14 Ś	Podwyższenia Krzyża Św.	1 Wer. Symeona
15 C	Nikodema, kapł. męcz.	2 Mamanta
16 P	Kornela i Cypriana, męcz.	3 Antyma
17 S	Stygmatów św. Franciszka ☿	4 Wawylę
39. N. 15 po Świętk. Ew.: O młodzieńcu z Naim. (Łuk. 7, 11-16).		
18 N	Józefa z Kupertynu, wyzn.	5 Zacharji pr.
19 P	Januarego, bisk. męcz.	6 Czudo ś. Mych.
20 W	Eustachego i tow., męcz.	7 Sozonta
21 Ś	Mateusza, Apostoła	8 Roźdz. Pr. Boh.
22 C	Tomasza z Wilanowy, bisk.	9 Joakima, Anny
23 P	Linusa, pap. męcz. ♄	10 Mynodory
24 S	N. Maryi P. od wyk. niewol.	11 Teodory
40. N. 16 po Świętk. Ew.: O uzdrow. opuchłego. (Łuk. 14, 1-11).		
25 N	Kleofasa, wyznawcy	12 Awtonoma
26 P	Cypriana i Justyny, męcz.	13 Kornyli
27 W	Kosmy i Damiana, męcz.	14 Wozd. Cz. Kr.
28 Ś	Wacława, męcz.	15 Nykity
29 C	Michała, Archaniola	16 Ewfymii
30 P	Hieronima, Dokt. Kościoła	17 Soffi

„Nie ma w świecie przykładu, by stosunek, oparty na wiarołomstwie, ostał się“.

H. Sienkiewicz („Rodz. Połan.“).

Z a p i s k i.

RADY DLA GOSPODARZY.

Kończyć zwózkę z pola, bo później wielkie rosy utrudniają schnięcie, potem zaś padają częste deszcze. Sprzątnąć potraw. Na św. Michał powinna być ozimina zasiana. We wrześniu, gdzieś od połowy zwykle padają deszcze częste. Wówczas czekać z orką i siewem aż ziemia trochę oschnie i stężeje. Nigdy nie siać i nie bronować ziemi zbyt wilgotnej (błotnistej).

Kopać ziemniaki a później sprzątnąć warzywa.

„Jeszcze się ten nie narodził, któryby wszystkim dogodził“.

(Przysł. lud.)

PAŹDZIERNIK

Dni Kalendarz Rzymski

Grecko.-kat.

1 S Remigiusza, bisk.

18 Ewmenyja

41. N. 17 po Św. Ew.: Największe przykazanie. (Mat. 22, 34-46).

2 N Aniołów Stróżów

19 Trofyma m.

3 P Teresy od Dzieciątka Jezus

20 Ewstachyja

4 W Franciszka Serafickiego

21 Kondrata

5 Ś Placyda, męcz.

22 Foky i Jony

6 C Brunona, Zakonodawcy

23 Zacz. ś. Joana

7 P Matki Boskiej Różańcowej

24 Tekly

8 S Brygidy, wdowy

25 Ewfrozymy

42. N. 18 po Świątkach. Ew.: O zapowietrzonym. (Mat. 9, 1-8).

9 N Dyonizego, bisk. męcz.

26 Joana Boh.

10 P Franciszka Borgiasza, wyzn.

27 Kałystrata

11 W Macierzyństwa N. Maryi P.

28 Charytona

12 Ś Maksymiliana, bisk.

29 Kyriaka

13 C Edwarda, króla

30 Hryhoria

14 P Kaliksta, pap. męcz.

1 Żow. Pok. Boh.

15 S Teresy, dziewicy

2 Kypriana

43. N. 19 po Św. Ew.: o godach królewskich. (Mat. 22, 1-14).

16 N Jadwigi, wdowy

3 Dionizyja

17 P Małgorzaty Alacoque, dziew.

4 Jeroteja

18 W Łukasza, Ewangelisty

5 Charytyny

19 Ś Piotra z Alkantary, wyzn.

6 Tomy ap.

20 C Jana Kantego, kapł.

7 Serhija

21 P Urszuli i tow., męcz.

8 Pełahji

22 S Korduli, dziewicy

9 Jakowa

44. N. 20 po Św. Ew.: Uzdraw. w Kafarnaum. (Jan 4, 46-53).

23 N Jana Kapistrana, wyzn.

10 Ewłampyja

24 P Rafała, Archanięła

11 Fylypa ap.

25 W Chryzanta i Darii, męcz.

12 Prowa m.

26 Ś Ewarysta, pap. męcz.

13 Karpa mucz.

27 C Sabiny i tow., męcz.

14 Paraskewji

28 P Szymona i Judy, Apostołów

15 Ewtymyja

29 S Narcyza, bisk.

16 Łonhyna

45. N. 21 po Św. Ew.: O miłosiernym słudze. (Mat. 18, 23-35).

30 N Chrystusa Króla

17 Osyji pr.

31 P Lucyli, dziewicy męcz.

18 Łuky

„Miłosierdzie Boże jest dla złych, nie dla dobrych“.

H. Sienkiewicz („Rodz. Połan.“).

Z a p i s k i.

RADY DLA GOSPODARZY.

Kończyć coprędzej siew ozimin, bo kto późno siew, ten mało zbierze. Kończyć zbiór ziemniaków, jarzyn, kapusty, bo przymrozki nocne częste i coraz mocniejsze. Teraz po uprzątnięciu z pola podorywać zagony twarde, aby przez zimę się „sprawiły“. Młócić zboże. Krowom dawać odpadki warzyw (głębkie kapusty, liście buraków). Przed wypędzeniem bydła na „samopas“ jesienny dać bydłu coś suchego „przegryść“, by na czczo nie wychodziło. Sposobić len i konopie.

„Kto nie słucha ojca, matki — ten słucha psiej skóry (bata)“.

(Przysł. lud.)

LISTOPAD

Dni	Kalendarz Rzymski	Grecko.-kat.
1 W	Wszystkich Świętych	19 Joila pr.
2 Ś	Dzień Zaduszny	20 Artemija
3 C	Sylwii, matki św. Grzegorza	21 Ilarjona
4 P	Karola Boromeusza, bisk.	22 Awerkyja
5 S	Zachariasza i Elżbiety	23 Jakowa

46. N. 22 po Św. Ew.: O monecie czynszowej. (Mat. 22, 15-21).

6 N	Leonarda, pustelnika	24 Arefty
7 P	Prodocyma, ucznia św. Piotra	25 Markijana
8 W	Gotfryda, bisk.	26 Demetryja m.
9 Ś	Teodora, męcz.	27 Nestora
10 C	Andrzeja z Awelinu, wyzn.	28 Paraskewji
11 P	Marcina, bisk.	29 Anastazji
12 S	5 Braci Polaków, męcz.	30 Zynowija

47. N. 23 po Świątkach. Ew.: O córce Jaira. (Mat. 9, 18-26).

13 N	Stanisława Kostki, wyzn.	31 Stachyja
14 P	Józefata, bisk. męcz.	1 Łyst. Kosmy
15 W	Alberta Wielkiego, Dokt.	2 Akyndyna
16 Ś	Gertrudy, dziewicy	3 Akepsyma
17 C	Grzegorza, Cudotwórcy	4 Joannyka
18 P	Pośw. Bazyliki św. Piotra i P.	5 Hałaktjona
19 S	Elżbiety, wdowy	6 Pawła

48. N. 24 po Św. Ew.: O ziarnku gorczyczym. (Mat. 13, 31-35).

20 N	Feliksa, wyznawcy	7 Jerona, Łazara
21 P	Ofiarowania N. Maryi Panny	8 Mychajła
22 W	Cecylii, panny męcz.	9 Onysyfora
23 Ś	Klemensa, pap. męcz.	10 Erasta, Olympa
24 C	Jana od Krzyża, Dokt.	11 Myny
25 P	Katarzyny, dziewicy męcz.	12 Josafata
26 S	Sylwestra, opata	13 Joana Złot.

49. N. 1 Adwentu. Ew.: O sądzie ostatecznym. (Mat. 24, 15-35).

27 N	Wirgiliusza, bisk.	14 Fylypa
28 P	Sostenesa, ucznia św. Pawła	15 Hurija
29 W	Saturnina, męcz.	16 Mateja ap.
30 Ś	Andrzeja, Apostoła	17 Hryhoryja

„Szlachetne dusze płacą za ufność wdzięcznością, podłe — pogardą“.

H. Sienkiewicz („Rodz. Połan.“).

Z a p i s k i.

RADY DLA GOSPODARZY.

Póki można — orać pod wiosenne zasiewy Wywozić nawóz pod ziemniaki i jęczmień, lecz go zaraz rozrzucić i przyorać. Nieprzyorany — marnuje się w znacznej mierze. Młócić zboże, by w zimie mieć czas wolny do wyjazdu do lasu i na zarobek. Przysposobić opał na zimę. Opatrzeć stajnie (drzwi, szpary) przed zimmem. Wymiać w kominie sadzę co tydzień, bo się jej dużo gromadzi i zapala się łatwo.

„Oszczędnością i pracą — ludy się bogacą“.

(Przysł. lud.)

G R U D Z I E Ń

Dni	Kalendarz Rzymski	Grecko.-kat.
1 C	Diodora, kapł. męcz.	18 Platona
2 P	Bibiany, dziewicy męcz.	19 Awdyja
3 S	Franciszka Ksawerego	20 Hryhorja
50. N. 2 Adwentu. Ew.: Świadecko Chrystusa. (Mat. 11, 2-10).		
4 N	Barbary, dziewicy męcz.	21 Wowed. Bohor.
5 P	Saby, opata	22 Fylymona
6 W	Mikołaja bisk.	23 Amfilocha
7 Ś	Ambrożego, bisk.	24 Kateryny
8 C	Niepokał. Poczęcia N. M. P.	25 Klymentja
9 P	Leokadii, dziewicy męcz.	26 Ałypa pr.
10 S	Najśw. M. Panny Loretańskiej	27 Jakowa
51. N. 3 Adwentu. Ew.: Świadec. J. Chrzciela. (Jan. 1, 19-28).		
11 N	Damazego, papieża	28 Stefana
12 P	Aleksandra, męcz.	29 Paramona
13 W	Łucji, panny męcz.	30 Andreja ap.
14 Ś	Dioskora i tow., męcz.	1 Hrud. Nauma
15 C	Ireneusza i tow., męcz.	2 Awakuma
16 P	Euzebiusza, bisk. męcz.	3 Sofonija
17 S	Łazarza, bisk.	4 Warwary
52. N. 4 Adwentu. Ew.: Gotujcie Drogę Pańską. (Łuk. 3, 1-16).		
18 N	Oczekiwania Najśw. M. P.	5 Sawy ep.
19 P	Nemeziusza, męcz.	6 Nykołaja Czud.
20 W	Teofila i tow., męcz.	7 Amwrozyja
21 Ś	Tomasza, Apostoła	8 Patapja
22 C	Flawiana, wyznawcy	9 Zaczat. Boh.
23 P	Wiktorii, dziewicy męcz.	10 Myny
24 S	Wigilia, Adama i Ewy	11 Danyła
53. Tydzień. Ew.: „Narodził się Zbawiciel“. (Łuk. 2, 1-14).		
25 N	Bożego Narodzenia	12 Spiryjdjona
26 P	Szczepana, pierw. męcz.	13 Ewstratija
27 W	Jana, Apostoła i Ewangelisty	14 Tyrsa, Łewkyja
28 Ś	Młodzianków, męcz.	15 Elewterja
29 C	Tomasza, bisk. męcz.	16 Ahheja
30 P	Eugeniusza, bisk.	17 Danyła
31 S	Sylwestra, papieża	18 Sewastjana

„Człowiek zawsze może wstąpić na lepszą drogę — póki żyje“.

H. Sienkiewicz („Rodz. Połan.“).

Z a p i s k i.

RADY DLA GOSPODARZY.

Młócić zboże — jeżeli mrozy silne i suche — młócić koniecznie na nasienie. Kury żywić dobrze, bo takie dobrze odżywianie w Adwencie wcześniej poczynają się nieść. Tuczyć trzodę chlewną. Przygotować drzewka na Święta.

„Bez Boga — ani do proga“.

(Przysł. lud.)



Kiedy ranne wstają zorze,
 Tobie ziemia, Tobie morze,
 Tobie śpiewa żywioł wszelki:
 Bądź pochwalon Boże wielki!

A człowiek, który bez miary
 Obsypany Twemi dary,
 Coś go stworzył i ocalił,
 A czemużby Cię nie chwalił?

Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
 Już do Pana mego wołam,
 Do mego Boga na niebie
 I szukam Go koło siebie.

Wielu w sen śmierci popadli,
Co się wczoraj spać pokładli,
My się jeszcze obudzili,
Byśmy Cię Boże chwalili.

ST. KARPIŃSKI.



Widok kościoła z ementarza.

Klasztor OO. Reformatów w Stopnicy

W ubiegłym roku (1937) klasztor nasz w Stopnicy (wojew. Kieleckie) obchodził uroczyste trzecie setlecie swego istnienia i dwudziestolecie powrotu do naszej Prowincji Małopolskiej. W związku z tym podajemy krótki rys jego dziejów.

Wpierw jednak trzeba poświęcić kilka słów miastu.

S t o p n i c a

Stopnica (stara, historyczna nazwa: Stobnica) była najpierw wsią królewską. Początki jej giną w zmroku historii, muszą jednak sięgać daleko wstecz, skoro w dwunastym stuleciu już występuje jako miasto i to poważne, bo tutejsi proboszczowie Baldwin i Cholewa przeszli bezpośrednio na biskupstwo krakowskie.

Kazimierz Wielki nadał „Stobnicy“ prawo średzkie (1360 roku) i uwolnił na lat 16 od wszelkich podatków i ciężarów na rzecz państwa. Stąd ks. Długosz w swej historii uważa Kazimierza za założyciela miasta. Zaznacza też, że król szczególnie sobie upodobał „Stobnicę“. Ktoś złośliwy powiedziałby dziś: Pewnie dla tego, że miała dużo żydów i żydówek....

Z rąk królewskich przeszło miasto rychło — za Jagiełły — na własność prywatną możnych rodów i zmieniało dość często właścicieli. Gdy zapanowali w niem Zborowscy, urządzili tu około roku 1551 zbór kalwiński. W nim działał sławny sekciarz, Franciszek Stankar. Tu też umarł. Rodem był z Włoch z Mantui. Sprowadzony do Krakowa jako nauczyciel języka hebrajskiego — przez biskupa krak. Maciejowskiego, który nie wiedział, że Stankar jest heretykiem — wicherzył długo w społeczeństwie katolickim.

Chmielnicki z Tatarami i Kozakami oparł się o Stopnicę. Pod niedalekim Zborowem stoczył z nimi bitwę i w niej poległ Baldwin Ossoliński, starosta stopnicki. Później, w roku 1655, węgierskie watachy i kozacy Rakoczego zajęwszy miasto do-

puszczali się nadużyć i okrucieństw. Szczególnie żydów mieli na oku. Lecz poczciwi OO. Reformaci dali im ochronę. Wspominają o tym kroniki klasztoru. Za to dziś żydzi w Polsce odwdzięczają się szczuciem przeciw Zakonom i księżom. Wdzięczność żmii!....

Dwór królewski istniał w Stopnicy od początku. Król Kazimierz Wielki przebudował go na obronny zamek. Najazd Szwedów nadwyrężył go mocno. Późniejszy starosta stopnicki Jan Kl. Bronicki odrestaurował go w stylu włoskim w roku 1661. W przeszło sto lat później został powiększony.

Dziś ze zamku pozostał duży dom — do niedawna siedziba gimnazjum, dziś spółdzielni roln. — w niczym nie przypominający dawnej świetności i obronności. Podobnie i z ogrodu włoskiego pozostało zaledwie kilka starych drzew. Jeden tylko staw obok zamku ostał się.

W tym to dworze, a później zamku, bawili różni królowie polscy. I tak: Najpierw Kazimierz Wielki często tu gościł — później Jagiełło tędy ciągnął pod Grunwald i w zamku się zatrzymywał. Stanisław August, wracając z Ukrainy, tutaj nocował.

K o ś c i ó ł

Na krawędzi wysokiego brzegu, spadającego bystro do potoka, stoi starożytny kościół parafialny, zbudowany w stylu gotyckim, pod wezwaniem św. Apostołów Piotra i Pawła. Frontem dotyka rynku. Wzniósł go Kazimierz Wielki w roku 1349, wyposażył hojnie w dobra ziemskie i obsadził trzema duchownymi. Szwedzi, a szczególnie Węgrzy Rakoczego złupili kościół bardzo.

Prešbyterium mieści kilka pomników wmurowanych w ścianę — dawnej szlachty, dobrodziei kościoła i dostojników duchownych — z długimi napisami, częścią po łacinie, częścią po polsku. Na pomnikach widnieją herby zmarłych. Do kościoła przylegają po obu stronach dwie kaplice. Świątynia mieści wiele bardzo cennych i starych pamiątek jak np. kamienne antypedium pamiągające fundatora.

Widok klasztoru od strony ogrodu.



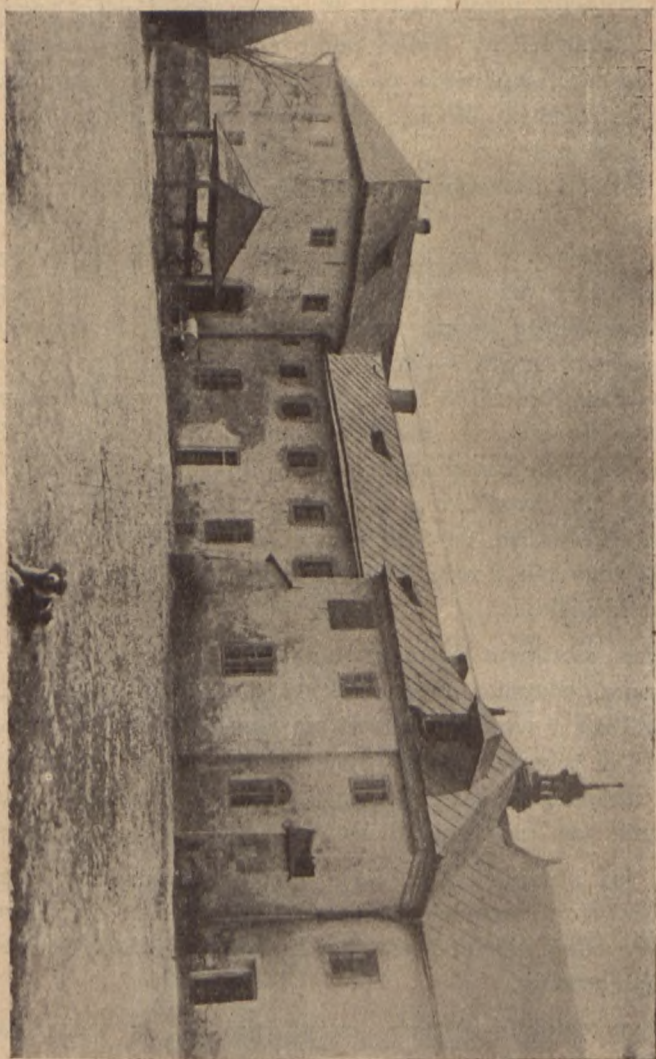
Osobną kartę w historii Stopnicy mają żydki. Mieszkali oni tu od dawna, a Kazimierz Wielki miał o nich pieczę i rad im był. Czuli się też tu dobrze i pewnie, bo mimo obostrzeń prawnych, zakazujących im osiedlać się w pobliżu kościoła, lustracja z roku 1789 mówi: „W rynku żydzi mają swoje domy, między którymi dwa tylko przez chrześcijan posiadane“. Widać stąd, że sobie zuchwale poczynali i prawa nie szanowali. Kroniki klasztorne i okolicznych włości przeładowane są opisami mordów rytualnych. Tylko, że dawniej panowie chrześcijańską krew cenili i ujawnione mordy nie uchodziły żydom bezkarnie. Tak np.: „W roku 1610 w Staszowie (pobliskim) żyd Szmul dziecię igrające w piasku porwał i wydał żydom do Szydłowa, którzy z tego dziecięcia krew wytoczyli i *za to tak staszowscy jak i szydłowscy żydzi z rozkazu p. Andrzeja Tenczyńskiego zostali poćwiartowani* — majątek Szmula obrócono na wymurowanie wieży kościelnej. Ciało dziecka pochowano w kaplicy św. Jacka w Staszowie z napisem znamienym: „Jana i Zuzanny Kowal, obywateli staszowskich syn. *Głos jego krwi woła o pomstę (jak głos krwi Abła — przyp. red.), aby żydów, wrogów imienia Chrystusa, ze Staszowa wypędzić*“. Niestety! W Staszowie do tego nie doszło. Widać obywatele nie rozumieją napisu, bo jest łaciński...

Dziś, skutkiem przeniesienia gimnazjum i siedziby starosty do Buska, Stopnica mocno podupadła. Niewątpliwie i gospodarka Rosji i wojna światowa zostawiła tu ślady. Jednak przy dbałości i pilności miejscowych władz dałoby się dużo zrobić celem upiększenia miasta. Tym bardziej, że ma z natury piękne położenie (na wzgórzu). Niestety! — widać zaniedbanie.

A już obrzydliwość bierze gdy się przechodzi ulicami żydowskimi (oni wszędzie jednacy!). I ta plaga: żydostwo i nieodłączne odeń niechlujstwo jest kulą u nogi Stopnicy w rozwoju i upiększeniu.

Bogu dzięki! — ruch odżydzeniowy zaznacza się i tu. W ostatnich czasach powstała katolicka spółdzielnia i kilka sklepów z modnym dziś i wiele mówiącym napisem: „chrześcijański“, „katolicki“. Oby tylko inteligencja, obywatele miej-

Podwórze klaszorne.



scowi i okoliczni włościanie zrozumieli zbawcze hasło: „*Kupuj tylko u chrześcijan!*“, „*Swój — do swego!*“.

K l a s z t o r

Stopnica była więc już dawno miastem, gdy do niej zawitali OO. Reformaci.

Sprowadził ich kasztelan wojnicki a zarazem starosta stopnicki i wojewoda sandomierski, Krzysztof z Tęczyna Ossoliński — zapewne celem wytępienia resztek arian i kalwinów. Pomocną w tym była mu małżonka, Zofia z Wojsławic Cikowska. Pobożni ci małżonkowie rozpoczęli budowę klasztoru opodal zamku, za miastem, w roku 1633, a w cztery lata później (1637) delegat biskupa krakowskiego, Grzegorz Kowniacki, wprowadził Ojców uroczyscie do gotowego konwentu.

K o ś c i ó ł

W roku następnym tenże delegat poświęcił dnia 27 kwietnia kamień węgielny pod kościół klasztorny. W dziewięć lat później (1647) dnia 5 czerwca X. biskup Wojciech Lipnicki, sufragan krakowski, dokonał konsekracji nowej świątyni pod wezwaniem św. Marii Magdaleny Pokutnicy, oraz ołtarza głównego i dwu bocznych. Uroczystości tej nie dożył zacy fundator. Zmarł bowiem 24 lutego 1645 r. w drodze na Sejm.

W roku 1674 sprawiono i konsekrowano dwa jeszcze ołtarze, cmentarz przed kościołem i przepięknie na nim urządzone Stacje Drogi Krzyżowej.

Do kościoła wchodzi się przez małą sklepioną kruchtę. Nad wejściem zewnątrz jest obraz Patronki kościoła. Chór organowy rozpięty na szerokim, zdobnym sklepieniu, wspiera się na dwóch kolumnach. Kościół jest jednonawowy. Posadzka kamienna U góry, pod wysokim sklepieniem okrągłe okna w ścianach przepuszczają do wnętrza światło obficie. Mur niesamowicie gruby. Na ścianach liczne płyty - pomniki z metalu i marmuru z napisami.

Po prawej ręce wchodzi się po kilku schodach do małej kaplicy. Jes tto późniejsza dobudówka. Tu stoi ołtarz św. Anny i drugi ołtarz Najśw. Serca Pana Jezusa. Przy wejściu do kapli-



Uczestnicy jubileuszu.

cy po lewej stronie widzimy olbrzymi pomnik z czarnego marmuru rzeźbiony bogato zbroją i armaturą. Na nim długi napis po łacinie, sławiący nieboszczyka Stefana Bidzińskiego, wojewodę sandomierskiego. Herby ze srebra, umieszczone spodem, oderwała jakaś zbrodnicza ręka. Podobnie i wartościowe portrety z nad pomników skradziono. Po stronie prawej również płyty-nagrobki rodziny Rupniewskich. — Pod kaplicą znajdują się dwie krypty. Tutaj w kolumnach spoczywają Bidzińscy, Rupniewscy i Lubienieccy.

Wśród nich biskup łucki, Stefan Rupniewski z rodziców kalwinów, mąż iście apostołski w gorliwości i wielce świątobliwy.

Ołtarz główny skromny, zakonny, lecz pięknie zdobiony rzeźbami w drzewie, malowanymi — nadzwyczaj dobrze dopasowany do wielkości kościoła. W ołtarzu P. Jezus na krzyżu — jak wszędzie w reformackich kościołach — na tle Jerozolimy. Obok krzyża figury: Matki Najśw. i św. Jana Ewangelisty. Po bokach ołtarza aniołowie z narzędziami Męki Pańskiej. Nad głównym obrazem, u góry, jest obraz przedstawiający zdjęcie z krzyża.

Za wielkim ołtarzem znajduje się dość obszerny chór zakonny ze starożytnym pulpitem na środku.

Pod kościołem w podziemiach są groby. Tu spoczywają w trumnach dobrze jeszcze zachowani zakonnicy, kilku biskupów i magnatów. Trumny ostatnich były obijane cenną materią, z której dziś zostały resztki tylko. Niektórzy z nieboszczyków zwracają na się uwagę wysokim wzrostem i tęgą budową kośćca. W czasie wojny światowej różni nieproszeni goście „zwiedzali” podziemia i przerzucali trumny w poszukiwaniu skarbów.

C m e n t a r z

Przed kościołem leży prostokątny cmentarz. Wspaniałe lipy i akacje wyniosłe ocieniają go. Piękne Stacje Drogi Krzyżowej są umieszczone wzdłuż muru obwodowego od wewnątrz, jakby w wąskiej hali. W obrębie cmentarza znajduje się duży grobowiec pod ziemią, na którym stoi zdobny pomnik w gotyckim stylu z herbami Sołtyków. Prócz tego kilka pomniejszych nagrobków i jedna kolumna koryncka, zakończona krzyżem. Nie ma na niej

żadnego napisu. Ma to być „niemy“ pomnik ku czci poległych w pobliżu klasztoru powstańców. — Na cmentarz prowadzą dwa wejścia. U jednego z nich stoi figura św. Antoniego, otoczona brzożami; u drugiego figura św. Jana Nepomucena.

Na cmentarzu w ubiegłym roku postawiono wielki dębowy krzyż jako pamiątka misyj.

Klasztor sam zbudowany jest z kamienia. Dwoma skrzydłami przytyka do kościoła tworząc z nim zamknięty kwadrat. W kwadracie na środku stoi figura Matki Bożej otoczona grzędami kwieciami i zieleni.

Jednopiętrowy ten gmach o małych oknach, okrągło sklepionych sufitach i niewielkich celach — dawał pomieszczenie licznym zakonnikom. Pracowali oni po okolicy już to jako spowiednicy, kaznodzieje, misjonarze, już to jako duchowni ojcowie w seminariach kieleckim i sandomierskim. Klasztor wrzał życiem. Tu był niegdyś nowicjat zakonny, tu było studium teologii, tu miał swą rezydencję O. Prowincjał, tutaj odbywała się nierzadko kapituła Prowincji (wybór O. Prowincjała). Ojcowie tutejsi byli szeroko znani i cenieni. Okoliczna szlachta i lud — garnęli się do nich z zaufaniem. Zdziałałi też dużo w winnicy Pańskiej, skutecznie walcząc z heretykami, którzy w okolicy mieszkali. Specjalnością Ojców było nawracanie Żydów. W klasztorze zachowała się dotąd książka ze spisem nawróconych. Niestety! Nie ma dziś ani śladu tej „misji“!...

Klasztor i Ojcowie dzielili losy Ojczyzny. Gdy w niej było dobrze to i im się dobrze wiodło, gdy przyszedł upadek — cierpieli i oni. Najazd Szwedów zniszczył klasztor. Dwu Ojców wywiedli żołdacy do lasu pod Zborowem i zamordowali. Na tym miejscu stoi dziś krzyż kamienny.

Węgrzy Rakoczego gospodarowali nie lepiej. Kozacy Chmielnickiego też z próżnymi i suchymi rękoma nie odeszli. Cios po ciosie bił w Stopnicę i klasztor. Wreszcie za rządów rosyjskich skazano go na wymarcie nie pozwalając przyjmować nowych zakonników. Po podziale Polski zatracił łączność z Prowincją. Każdy klasztor żył dla siebie. Niektóre jak np. w Chełmie lubelskim, opustoszały całkiem po wywiezieniu na Sybir Ojców i Braci.

W pamiętnych latach 1831 i 1861-3 powstańcy znaleźli tu go-



Uczestnicy jubileuszu.

ścinne miejsce. Dziś jeszcze opowiadają najstarsi obywatele miejscowi (p. Pruchnicki, Laskowski i inni), że w podziemiach konwentu ukrywał się oficer powstańczy. Miał on konia białego, który bardzo lubiał cukier. Koń pasał się w ogrodzie. Moskale sądzili, że to koń klasztorny. Dopiero ktoś z okolicy zdradził Moskalom, że to koń powstańca. Jako dowód wskazał to, że koń lubi cukier. Sałdаты dalej do ogrodu i pokazują koniowi z daleka cukier. Koń przybiegł. Uwierzyli, poczęli szukać i znaleźli nieszczęśliwego. Pewnie jako oficera, nie minęła go szubienica. Ten sam osobnik wydał drugiego powstańca, który się ukrył w sianie w stodole. Kozacy poczęli kłuć siano pikami i zakłuli biedaka. Poznali to po krwi na ostrzu. Wydobyli jego ciało a krew dali zdrajcy i zmusili go do wypicia jej. Dzikie dusze kozaków wyczuły, że brzydko postąpił ów zdrajca: sprzedał swego. I my nie możemy oprzeć się uczuciu odrazy. Ale jeśli zważymy nieludzkie nieraz postępowanie szlachty z chłopami, za czasów pańszczyzny, krzywdzenie ich a głównie brak oświecenia na wsi — inaczej o nim będziemy sądzić.

W powstaniu brali udział i nasi Ojcowie. Jeden z nich, zawisł za to na szubienicy w Koninie, drugi poległ w bitwie pod Solcem, spowiadając rannych, a kilku wraz z Braćmi poszło na wygnanie na Sybir. O. Rafał Tomaszewicz pisywał — na Sybirze — zjadliwe satyry (wierszem) na Moskali i — swoich.

Wyżej wspomniani obywatele stopniccy pamiętają powrót ze Sybiru Br. Abrożego Ostrowskiego. Pracował on 25 lat w kopalni w Irkucku przykuty do tacek. Po powrocie nosił długą brodę, jaką zapuścił tam i chadzał w długim chałacie, mającym zastąpić habit. Prawdziwego habitu bowiem Moskale nie pozwalali mu ubierać — jako byłemu skazańcowi. Wyczerpany fizycznie, niedługo po powrocie umarł.

Tymczasem zakonnicy wymierali. Nie zasilany nowymi — klasztor pustoszał. Ostatnim gwardianem był O. Symforjan Jaśński.

Z miłości ku prawdzie — choćby smutnej — wyznać trzeba, że się nie najlepiej na tym urzędzie spisał.

Po jego śmierci — gdzieś w roku 1885, klasztor opustoszał. Pilnował go tylko — chodząc po świecku — Aspirant — Brat

Ambroży, który dziś jeszcze w Stopnicy w czerstwym zdrowiu żyje. Wtedy to krewny zmarłego gwardiana skorzystał z nieobecności Ojców i „oczyścił” konwent ze wszystkich sprzętów. Zostały tylko gołe ściany. Nawet słomę ze stodoły ładował już na wóz, ale mieszkańcy sąsiedniej wsi, Stare Kąty, przepędzili go. Za tak „odziedziczone” rzeczy miał ów krewny zgarnąć 900 rubli. Lecz nie wyszło mu to na korzyść. Wśród rzeczy, które zabrał, było i zboże jednego „obiwatela”. Leżało zamagazynowane w jednej z cel i było już mocno nadpsute. „Obiwatel” począł mu się o zboże upominać. Tamten nic. Żyd do sądu — w proces. Żyd proces wygrał, a tamten „spadkobierca” musiał mu za samo zepsute zboże zapłacić ponoć ponad tysiąc rubli. Tak to „kradzione nie tuczy”. Wspominam o tym nie ze zemsty, lecz dla nauki.



O. Dionizy Goc.

Zaraz po śmierci ostatniego Ojca Gwardiana obywatele miejscowi rozpoczęli zabiegać o sprowadzenie O. Dionizego Goca. Był on ostatnim do stopnickiego klasztoru należącym Ojcem. Pracował zaś jako wikary w Dłużcu. — Po długich zabiegach

udało się to. Rząd wprawdzie nie był temu chętny, bo pragnął ruiny klasztoru, by zakonnicy nie podtrzymywali ducha narodowego. Lecz po długich naleganiach ustąpił i dał zezwolenie na powrót O. Dionizego i zamieszkanie w klasztorze.

W tych staraniach wybitną rolę odegrał niejaki p. Leszczyński ze Stopnicy.

Z wielką radością witała Stopnica O. Dionizego. Mieszkańcy ze składek kupili mu krowę i sprzęty kuchenne i dopomagali zagospodarować się. Z ich pomocą pokrył O. Dionizy kościół blachą i konserwował klasztor.

W roku 1905 spalili (przypadkowo) Moskale budynki gospodarskie. W tym też roku, w czasie pamiętnej na terenie Rosji ruchawki urządziła miejscowa ludność wielki manifestacyjny pochód. Niesiono uroczyście polski sztandar z naklejonym na nim papierowym orłem białym. (Sztandar ten do dziś przechowują jako cenną relikwię narodową). Pochód zatrzymał się obok murów klasztornych, pod statuą św. Antoniego. Jeden z obecnych wygłosił śmiałą mowę, żądając w niej swobód i wolności dla Polaków, zwłaszcza polskiego języka wykładowego w szkole. Zakończył zaś znamiennym okrzykiem „odłączcie owce od kozłów“!

Że ten pochód nie zakończył się strzelaniną i ofiarami w ludziach, zawdzięczać należy jednemu z wyższych wojskowych, Polakowi, który nie usłuchał rozkazu władzy i nie kazał strzelać.

Z morza łez i krwi wojny światowej wzeszła dla Ojczyzny naszej zorza wolności. W roku 1915 zawitali tutaj Legioniści polscy z wodzem ś. p. Marszałkiem J. Piłsudskim, który zwiedził klasztor a nawet miał w nim nocować. Społeczeństwo miejscowe witało swoich radośnie i choć wyniszczone przez Moskali, gościło suto: ciepłymi przekąskami ludzi — owsem konie.

Wtedy to zaszedł przykry wypadek.

Pan Pruchnicki ugościł u siebie Legionistów wódką, bo na polu była zima, a dla koni wydobył ukrytą resztę owsa — kilka worków. Nie było to tajemnicą w mieście. Z tego skorzystał niejaki p. Jaskulski i — krótko mówiąc — gdy Moskale napowrót Stopnicę odzyskali, zdradził p. Pruchnickiego wraz z kilku innymi mieszkańcami Stopnicy. Na przesłuchaniu ów Jaskulski bił

p. Pruchnickiego laską o żelaznej gałce; podobnie i pozostałych uwięzionych. Po tej kaźni — w szczegółach ohydnej — oświadczył skatowanym, by się przygotowali na śmierć, bo zostaną wywiezieni i straceni.

Jak mię zapewniał p. Pruchnicki, pogrożka ta nie była czczą. Moskale znów się poczęli cofać. Wszelkie więc sprawy podejrzane załatwiali krótko: Paruminutowy sąd i na szubienicę. Uwięzieni gotowali się na najgorsze.

Dowiedzieli się, że mają jechać w stronę Staszowa. To złe — pomyśleli. W tamtym kierunku jadą Moskale więc nie ma nadziei wyjść cało. Ale Bóg czuwał nad niewinnymi. Żona jednego z nich (Szpigiel?) dowiedziawszy się, co im grozi, jeśli zostaną wywiezieni do Staszowa, czym prędzej w nocy wyjechała do Solca. Tam był generał kozaków, człek nadzwyczaj ludzki i sprawiedliwy. Miał on już o Jaskulskim bliższe informacje, co on zacz. Wysłuchawszy pani Szpigielowej, wydał rozkaz skierowania uwięzionych do Solca. Tu po krótkim przesłuchaniu sądzie — uwolnił wszystkich.

P. Próchnicki jednak, jako uczciwy katolik, przebaczył mu i nie szuka zemsty.

Wojna zniszczyła miasto, więc z braku pomieszczenia przeniosły się niektóre urzędy (gminy) do klasztoru.

Gdy pożoga wojenna przygasła i front się oddalił O. Dionizy, staruszek już nad grobem stojący, przybył do Krakowa w 1916 roku do O. Prowincjała i prosił o przejęcie klasztoru, którego dotąd był stróżem wraz z Bratem Ambrozym.

Radość wielka zapanowała w mieście, kiedy dnia 3 października tegoż roku Ojcowie nasi (O. Stanisław Stoch i O. Atanazy Matlak) zjawili się w Stopnicy, by objąć w posiadanie, załudnić, ożywić i pracą napełnić tak długo osierocony dom.

Po wojnie restaurowano klasztor i kościół, naprawiono mury, uprawiono ogród, oczyszczono w ogrodzie zachwaszczony staw. Silne mrozy pamiętnej zimy w roku 1929 pozbawiły ogród wspaniałych orzechów włoskich, tworzących prześliczne aleje. Inne drzewa wyrąbano — nie bez szkody dla ozdoby.

W czasie urzędowania obecnego O. Gwardiana, O. Macieja,

klasztor przechodzi daleko idący remont, który mu niewątpliwie nada nowy wygląd. W dawnym refektarzu wybudowano scenę teatralną i zamieniono go na salę. Odda ona wielkie usługi Ter-cjarstwu i umożliwi rowój życia umysłowego i kulturalnego Stopnicy.

Wzdłuż muru klasztornego, od strony zachodniej, gdzie niedawno jeszcze były nieprzebyte doły, zrobiono chodnik wykładany cementowymi płytami. Teraz dostęp do klasztoru jest bardzo wygodny. Chodnik, ocieniony rozłożystymi lipami, jest dziś miłym miejscem na promenadę. — Wielką pomoc przy jego budowie okazał p. Starosta Witkowski, opłacając robotników — miasto, dając pieniądze na płyty, — okoliczni włościanie, zwożąc je darmo z dalekiego Szczucina i Drogomistrz p. Rzepa, dozoru-jąc robot.

Uroczystości jubileuszowe

Jak wspomniano na wstępie, w ubiegłym roku klasztor ob-chodził uroczystości trzechsetlecie istnienia i dwudziestolecie po-wrotu do Prowincji. Aby uroczystość tę uświetnić, połączono ją z misjami. Jako misjonarze przybyli z Krakowa O. Definitor Sta-nisław Stoch i O. Filip Lepiarczyk. Misje trwały cały tydzień, od niedzieli 4 kwietnia do niedzieli następnej.

Ludzie wzięli liczny udział w misjach. Do spowiedzi i ko-munii świętej przystąpiło około osiem tysięcy. Na zakończenie uroczystości zjechał nasz Najprzew. O. Prowincjał O. Anatol Pyt-lik, O. Atanazy Matlak, gwardian ze Sądowej Wiszni, O. Jacenty Kość, gwardian z Pilicy i O. Sabin Rakiewicz, gwardian z Wie-liczki. Prócz tego ponad dwudziestu księży z okolicznych parafij. Odprawiono dwa uroczyste nabożeństwa żałobne: jedno za zmar-łych dobrodziejów wiejskich, którzy składkami i jałmużną wspierali konwent, a drugie za fundatorów i dobrodziejów z po-śród ziemian.

I lud i wielcy właściciele (potomkowie dawnych fundato-rów i dobrodziejów) wzięli żywy udział w uroczystości, okazując duże zainteresowanie klasztorem i jego przeszłością. Za co niech im Bozia sownie zapłaci!

Daj Boże, aby konwent stopnicki wrócił do dawnej świetności i wpływu i siedł w pracy naprzód, niosąc przed narodem boskiej oświaty i świętości kaganiec*).

R.

Droga do nieba

— Czego chcesz, moje dziecko? — czemu tak dobijasz się do bramy? Tutaj jest szpital. Chorzy potrzebują spokoju. Nie można tak hałasować.

— Szukam mojej mamusi. Ona tu jest, bo ją tutaj zawieziono. Pamiętam dobrze. To było przed dwoma tygodniami.

— Mamusi szukasz? — spytał odźwierny z wyrazem zdziwienia.

— Tak, odrzekło dziecko. Już nie mogę bez niej wytrzymać. Niech mię pan puści do niej.

Stróż spoglądał na dziecko długo, przeciągle. Nie mógł znaleźć odpowiedzi. Aż wyszeptał słabo:

— Biedne dziecko! Żal mi cię serdecznie, boś już sierotą. Mamusi twej już nie ma. Mama twoja umarła.

Pogłaskał dziewczynkę po twarzy pieszczotliwie

— Wróć do domu do taty — dodał.

— Nie mam taty — odrzekło dziecko z płaczem. Mieszkam u sąsiadki odkąd mama tu pojechała. Puść mię pan do niej. Ona tu jest.

— Dziecko drogie, mama twoja umarła; wróć do ludzi.

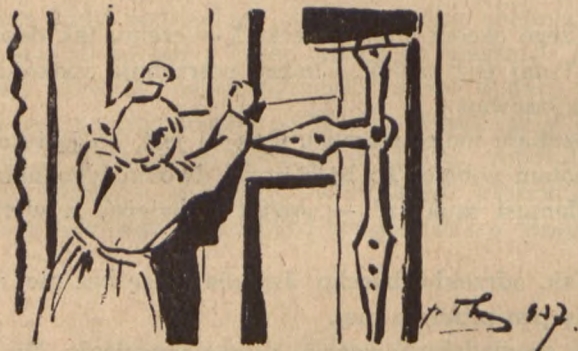
Ciężkie drzwi szpitalnej bramy zamknęły się z tępym trzaskiem. Dziewczynka stała chwilę jeszcze płacząc. Niezrozumiała słów odźwiernego.

— Przyjdę jutro, to mię puści — pomyślała i wróciła do domu.

*) Przy pisaniu niniejszego rysu historycznego korzystałem bardzo dużo — prócz kronik klasztornych — z dzieła X. J. Wiśniewskiego pt. „Histor. opis kościołów, miast, zabytków i pam. w Stopnickiem“, jako też z ustnych opowiadań miejscowych obywateli szczególnie nadzwyczaj uprzejmego pana Pruchnickiego.

Autor.

Wschodzące słońce następnego dnia zastało ją u bramy szpitalnej. Zawodząc od płaczu bije drobnymi piąstkami w okute drzwi i woła: „mamusiu, mamusiu, ja tutaj jestem, puść mnie do siebie, chodź do nas do domu“. Bije we drzwi bez przerwy nie bacząc na ból. Żadna siła na świecie nie oderwałaby jej od tych drzwi.



„Zawodząc od płaczu, bije drobnymi piąstkami w okute drzwi“.

Po chwili ukazuje się twarz stróża.

— Dziecko moje, twej mamy tutaj nie ma. Mama poszła do nieba.

— Poszła? — zapytuje dziecko przez łyzy. Do nieba? A gdzie jest niebo?

— Idź i szukaj.

Drzwi zamkły się. Biedne dziecko stało chwilę bezradnie. W małej główce nie mogło się pomieścić, żeby ta dobra mama sama gdzieś do nieba poszła a nie wzięła jej. Ale nie zastanawiała się długo. Błysła jej myśl szczęśliwa: Pójdę za mamą do nieba.

I poszła — prosto przed siebie.

Nózki bose, sukienka zmięta, łyzy jeszcze w oczach — idzie. Kogo spotka pyta o drogę do nieba. Przechodnie zaskoczeni takim pytaniem, zastanawiają się chwilę. Wreszcie poważnie odpowiadają: Do nieba dziecko droga jest długa i ciężka. Niech Bóg dobry sam cię tam zaprowadzi. Módl się doń o to.

Dziewczynka szepcze pacierze i idzie, choć nie wie, gdzie, dokąd prowadzi droga. Bozia mnie sam tam zaprowadzi — powta-

rza ufnie i idzie. Gdy noc zapada, tuli się w trawę do stóp przydrożnego krzyża i zasypia. Rano ze wschodem słońca wstaje i idzie dalej. Dobrzy ludzie, których spotyka, dają jej kawałek chleba, łyk ciepłego mleka. Rzekną litościwe słowo. A ona pyta:

— Daleko do nieba? Powiedźcie, daleko?

— Oj daleko, dziecino, daleko — odpowiadają z westchnieniem i patrzą z rozrzwinnieniem, jak maleństwo drobnymi stopkami drogę przed się mierzy.

I idzie tak mała od wsi do wsi, od miasta do miasta. Modli się, szepce pacierze a pyta, czy jeszcze daleko do nieba.

Dwa tygodnie ubiegły, jak biedota opuściła dach rodzicielski. W tej pobożnej wędrowce wyczerpały się jej siły. Jakaś słabość ogarnia ją. Robi się jej ciepło. Równocześnie czuje wielkie pragnienie spoczynku. Tylko lęka się samotności. Wysiłkiem czyni ostatnie kroki. Zdaje jej się, że kogoś tu spotka, to mu się powierzy.



„Jakby przez sen widzi twarz zakonnicy“.

I rzeczywiście! Droga skręca nagle. Ukazują się kopuły wież. Klasztor stoi przed nią. Znałe jej takie wieże i bramy. W iluż podobnych dostała jeść dosyta...

Z trudem odszukała furtę. Drżącą dłonią ciągnie za dzwonek. Uderzył, ale słabo. Kto wie czy furtjan usłyszał. A ona już nie ma sił. Tak jej jakoś ciepło, dobrze. Tylko oczy jej zaciemniają się.

W głowie czuje jakiś zamęt... Słania się na posadzkę. Musi spocząć... Jakby przez sen widzi nad sobą twarz zakonnicy i słyszy głos: dokąd że ty idziesz, dziecińo?

— Do nieba — do mamy — odpowiada półprzytomnie.

Siostra zakonna targnęła mocno dzwonek. Zaalarmowane zakonnice zbiegły się koło wymęczonego ciała. Cuć, budzą. Na próżno... Małej robi się w oczach coraz ciemniej. Czuje coraz większe ciepło. O jak jej teraz dobrze... Tak bardzo dobrze... To już pewnie gdzieś blisko jest niebo... Uśmiecha się dziwnie wesoło... Już doszła kresu drogi do nieba...



(Z niemieckiego).

Było to w Bawarii, w pewnej wiosce, w dzień niedzielny. Od wczesnego rana wieś wyglądała naprawdę odświętnie. Ludzie postrojeni gromadzili się tłumnie przy drodze i rozmawiali żywo o mającej się dziś odbyć uroczystości chrztu i poświęcenia nowego dzwonu i o tajemniczym zniknięciu jednego z robotników odlewni, Herberta Greuznac. Kilka dni temu, kiedy właśnie pracowano nad odlaniem nowego dzwonu dla wsi, zginął Herbert gdzieś bez śladu. Pozostawił tylko marynarkę, zegarek i papiery swoje w pracowni. Wieść ta wstrząsnęła wsią. Podawano ją sobie z ust do ust.

W ostatnie dni tylko o tym mówiono, snując najrozmaitsze puszczania.

— Kto wie, czy sobie sam życia nie odebrał — zauważył ktoś.

— Wykluczone! — protestował inny. Herbert był na wskroś religijny. — Zresztą miał przecież niedługo stanąć na ślubnym kołniercu. W takim czasie człowiek o śmierci nie myśli — dorzuciła młoda mężatka. On przecież tak kochał swoją narzeczoną.

— To prawda — zauważyła starsza jejmościni — ale on był chłopakiem ambitnym. Nie chciał powiększać w domu biedy przez małżeństwo — i usunął się.

— Zwłaszcza jeśli mu matka bruździła — zauważył z oburzeniem jakiś młokos, pewnie krótko trzymany przez swoich rodziców.

— Ach! ludzie! gadacie niedorzeczności — zawołał Otto Burg, kolega w tajemniczy sposób zaginionego. Herbert był człowiekiem szlachetnym. Matkę kochał gorąco i ona jego. Między nimi nie było nigdy kłótni. Owszem, matka nawet zachęcała go do małżeństwa z Hildegardą, bo się obie lubiały bardzo.

— No więc powiedz, gdzie i jak się podział Herbert? — zapytano. Tyś powinien wiedzieć, boś mu był najbliższym kolegą.

— Nie wiem i nie mam pojęcia. Chybaby miał jaki wypadek przy pracy. Ale to byłby krzychał, w pobliżu byli robotnicy, zauważyliby coś...

— A może ktoś się nań zasadził? — szepnął stary Stenz nieśmiało. Może go ktoś, komu był nie wygodny, sprzątnął? W odlewni to łatwo. Do kotła bęc i już... Żelazo metal płynny nie zostawi śladu. Mówiąc te słowa stary Stenz robił minę zagadkową.

Wszyscy jednak wzdrygnęli się na takie straszne przypuszczenie.

— Herbert Greuznac nie miał żadnych wrogów. Był przez wszystkich lubiany — protestował Otto.

Mimo to przypuszczenie starca wydało się wszystkim najbardziej prawdopodobne. Ale przy tym tak okropne, że nikt nie chciał w nie serio uwierzyć.

Policja wdrożyła dochodzenia, poczęła badać robotników odlewni, zarząd, ale nigdzie ni śladu jakiegś zbrodni. Herbert zaś, mimo że był lubiany, już w parę dni później poszedł w zapomnienie. Zaginął, przestał być wśród żywych — więc też i z pamięci ule-

ciał. Tym bardziej że inne, żywe sprawy zajęły umysły ludzi, zwłaszcza uroczystość poświęcenia dzwonu.

Od rana dziś mówiono o tym, strojono się i niecierpliwie czekanono pory poświęcenia.

W kościele zebrała się cała wieś. Zwyczajem niemieckim na przodzie dzieci w osobnych ławkach, potem niewiasty, starsi gospodarze, a podrostki pośrodku nawy głównej. Każda rodzina miała swoje miejsce, tak, że nieobecność czyjaś nie uszła uwagi.

W bocznej nawie stał nowy dzwon. Celebrans w szatach liturgicznych zapytywał rodziców chrzestnych, jakie imiona chcą nadać temu „dziecku“.

— Zuzanna i Herbert — brzmiała odpowiedź zgodna. (Gdyby ktoś pilnie obserwował robotników odlewni, którzy stali grupą obok dzwonu, byłby dostrzegł na twarzy najtęższego z nich, dziwną zmianę na dźwięk imienia: „Herbert“. Twarz jego to bladła, to ciemniała. Oczy strzelały niespokojnie tu i tam i wracały ustawicznie do dzwonu. Zdawało się, że ten metal wywiera jakąś siłę na owego robotnika — przykuwa go do siebie. Tymczasem uszło to uwagi, bo oczy wszystkich skierowane były na celebransa i ceremonię chrztu dzwonu. Uwagi uszło nawet i to, że robotnik ów drgnął mocno niespokojnie, z przestachem, a potem zaklął z cicha, gdy obok niego przesunęła się matka zaginionego Herberta).

Ceremonia dobiegała końca. Ksiądz uderzył w dzwon laską, poświęconą trzykrotnie. To samo uczynili rodzice chrzestni. Rozległ się czysty dźwięk. Następnie kapłan namaścił dzwon olejami świętymi wewnątrz i zewnątrz i przeżegnał znakiem krzyża św.

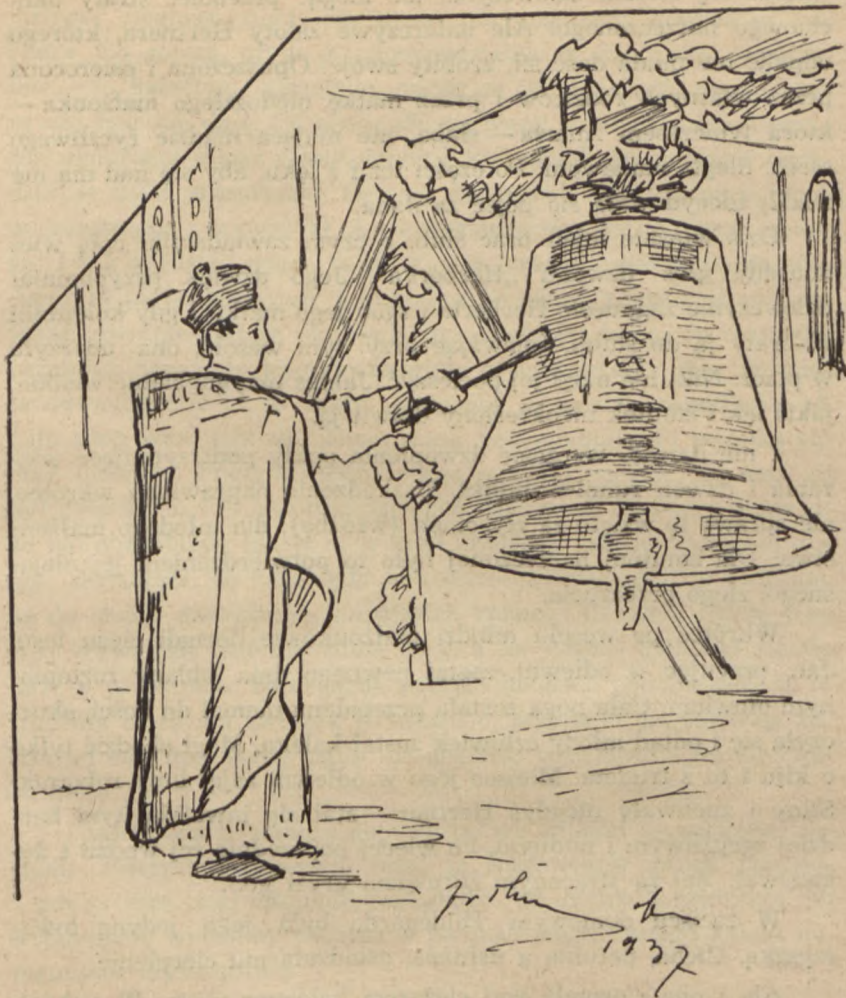
Teraz ten czysty głos mógł spełniać swe zadanie, ulatując ze szczytu wieży ku niebu, łącząc się w cudną harmonię dźwięków całej przyrody i towarzysząc wszystkim ważnym zdarzeniom tych na dole, po ziemi chodzących ludzi — narodzinom — weselu — pogrzebowi.

Mógł mówić o sobie:

„Fulgura frango“ — Gromy hamuję,

„Vivos voco“ — Żywych zwołuję,

„Mortuos plango“ — Zmarłych oplakuję.



Ksiądz uderzył w dzwon laską...

II.

Od opisanego zdarzenia upłynęły trzy lata. W pogodny czerwcowy poranek, dźwięk dzwonu płynął ponad cichą wioskę i zwiastował jej mieszkańcom radosną wieść o zaślubinach. Jan Hertner, najtęższy pracownik w odlewni dzwonów, brał za żonę dawną narzeczoną tajemniczo zaginionego Herberta Greuznac. Długo

wahała się biedna dziewczyna, nie mogąc przeboleć straty ukochanego narzeczonego. Ale natarczywe zaloty Hertnera, którego odpalić nie miała dość sił, zrobiły swoje. Opuszczona i osierocona przez własnych rodziców i przez matkę niedoszłego małżonka — która tymczasem zmarła — słaba, nie mająca nigdzie życzliwego serca, uległa namowom. Po części też i z lęku, aby się nad nią nie mścił, zdecydowała się pójść za Jana.

Dzisiaj właśnie mieli brać ślub, o czym zawiadamiał całą wieś donośny głos dzwonu „Herbert’a“. Jego dźwięk przypomniał dziewczynie zaginięcie Herberta i zgon jego matki. I gdy koleżanki ubierały ją do ślubu, śpiewając przy tym wesoło, ona uderzyła w płacz. Nikt nie mógł jej pocieszyć. Jakieś przygnębienie wielkie, jakiś lęk i smutek nieokreślony dławili ją.

I nie darmo. W czasie dzwonienia pękły podtrzymujące wiązania i dzwon runął i umilkł. Uszkodzenie naprawiono wkrótce, ale sprawę tę wzięto za zły omen (wróżbę), dla młodego małżeństwa. Dla smutnej narzeczonej było to potwierdzeniem jej niejasnego, złego przeczucia.

Wkrótce po weselu młodzi małżonkowie doznali ciosu losu. Jan, pracując w odlewni, został pewnego dnia obłany roztopionym ołowiem. Cała noga została przepalona niemal do kości, skurczyła się i odtąd młody człowiek został kaleką. Mógł chodzić tylko o kiju i to z trudem. Miejsce jego w odlewni zajął inny robotnik. Silny i zuchwały niegdyś Hertner — stał się inwalidą, tym bardziej zgryźliwym i nudnym, im więcej poprzednio rej wodził i dokazywał. Żal za straconym zdrowiem gryzł go.

W zaciszu domowym Hildegarda była jego jedyną towarzyszką. Cicha, potulna a usłużna, osładzała mu cierpienie.

Ale i ona cierpiała pod ciężarem kalectwa męża. W cichych chwilach nudnego życia, wybiegała myślą w przeszłość. Odświeżała w sobie obrazy szczęścia, o jakim nie dawno marzyła... szczęścia u boku kochanego Herberta. Jacyż oni byli oboje z matką zaci, prości a serdeczni. Od nich promieniała radość i udzielała się jej. Zapominała wtedy o swym bolesnym sieroctwie. Niestety! Los zawiódł ją strasznie. Herbert przepadł bez wieści, matka jego spoczywa dawno pod murawą, a ona, Hildegarda, znowu jest sierotą. Bo i cóż z tego, że ma męża! On dzisiaj kaleką nie do życia.

Przy tym jest jakiś ponury, wiecznie nie zadowolony. Mimo jej bojaźliwej uległości, nigdy nie może mu dogodzić. Zawsze na nią gdera. Co gorsza, czyni ją odpowiedzialną za wszystko nieszczęście — za kalectwo, cierpienie, nawet za jakieś udręki nocne, które mu spać nie dają. Co noc budzi się zlany zimnym potem i przez sen mamrocze jakieś słowa, jakby z kim gadał, jakby kogoś odpędzał, to znów przeproszał. Ile razy się budził, wołał ją po imieniu w przestrachu i przyzywał. A gdy przyszła trzymał ją mocno za rękę. I tak spędzała noce—bezsenne, w strachu przed tą zmorą, jaka dręczyła męża. Niewinne a subtelne jej serce, poczęło wyczuwać jakąś tajemnicę, która okrywała przeszłość jej męża. Te rozmowy przez sen nasuwały jej najrozmaitsze przepuszczenia. Ale nie miała odwagi pytać o to męża. Jeszczeby ją bardziej prześladował. Biła odeń jakaś siła zła, demoniczna, przynębiająca i wszelką radość mroząca. Poczęła biedna coraz mocniej wierzyć, że mąż jej był świadkiem lub aktorem jakiegoś strasznego dramatu w życiu; że ten chorobliwy lęk w nocy miał źródło w jakimś wstrząsie duszy. Zwłaszcza, że rano, gdy ona czuwała przy nim do świtania, aż do chwili dzwonienia, na dźwięk znanego dzwonu, dzieła jego rąk, zrywał się, zatykał sobie uszy, a na twarzy malował się złe ukryty przestrach. Hildegarda poczęła niejasno przeczuwać, że ta tragedia męża ma związek z dzwonem, podobnie jak jej tragedia. Ale jej niewinne serce nigdy nie znalazło rozwiązania tej tajemnicy męża.

I tajemnica ta została dopiero po ich śmierci wyjaśniona. Jedynie Hertner, jej aktor, miał ją ustawicznie przed oczyma. I gdyby ktoś miał zdolność zaglądania do duszy i widzenia jej wspomnień, widziałby codzień w pamięci nieszczęsnego kaleki następujące myśli-obrazy:

III.

Pewnego wieczora w odlewni, przy kotle wypełnionym po brzegi płynnym metalem, w izbie oświetlonej płomieniami ogniska, rzucającego na ściany fantastyczne cienie, pracowało dwóch ludzi. Gotowali się do odlania dzwonu. Obnażeni byli do pasa. Czupryny zwichrzone a twarze rozpalone od żaru paleniska.

W tej chwili byli tylko obaj w pracowni. Ale między nimi

było coś, co ich równocześnie łączyło i dzieliło. Obaj byli robotnikami doskonałymi. Hertner był starszy i zajmował pierwsze miejsce wśród pracowników. Dyrektor fabryki cenił go i liczył się z nim. Greuznac nie ustępował tamtemu w zręczności; przy tym był cichy, łagodny i sumienny. Natomiast Hertner gbur, ponury i złośliwy, rad każdemu dokuczyć. Ile razy miano wykonać pracę ważną bardzo, dyrektor powierzał ją obom. Stąd między nimi wywiązała się cicha rywalizacja. Rywalizacja ta zaostrzyła się, odkąd Hertner postanowił Herbertowi odbić narzeczoną. Kochał on się w niej dawno. Lecz ona, oburzona jego nadskakiwaniem, szukała pomocy u Herberta, który też ujął się za nią należycie. I za to ujęcie się za swą narzeczoną Hertner poprzysiągł zemstę koledze, postanowił sprzątnąć rywala w pracy i w miłości. Ułożył sobie plan:



Jakaś postać zbliżyła się doń....

Najpierw, aby odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia, obrócił w żart to małe między nimi zajście. Następnie zmienił sposób odnoszenia się do kolegi. Stał się dlań uprzejmym i przyjacielskim. Zwolna potęgował na zewnątrz swą dlań życzliwość, wszystkim było to widoczne. Zmienili teraz sąd o Hertnerze. A gdy za jego wpływem Herbert otrzymał podwyższenie pensji z racji bliskich zaślubin — wszyscy byli mocno przekonani, że

między oboma jest najczystsza przyjaźń. Tak było na zewnątrz. Ale w duszy Hertnera okropny plan dojrzewał tymczasem. Nie nawiść i zazdrość o kochaną kobietę żarła go. Dziś postanowił dokonać dzieła.

Okoliczności sprzyjały. Byli sami w pracowni. Na dworze mrok i deszcz. Nikt się nie zjawi. Nikogo w pobliżu nie ma. Nikt nie usłyszy krzyku...

Ogień płonął — metal był już roztopiony i gotowy do odlania — forma w porządku. Obaj rozmawiali pozornie przyjaźnie. Po chwili zbliżyli się obaj do ogniska. Hertner, rozgrzany, okiem trwożnym zaglądał do kotła z metalem. Na twarzy widać było u niego zdenerwowanie, niepokój jakiś... Herbert zaś tymczasem obojętnie podsyczał ogień, paląc fajkę.

— Za chwilę będzie gotowe — ozwał się Hertner. Obejrzę jeszcze raz formę i wrócę zaraz.

Greuznac został sam, zbliżył się do kotła i nachylił się nad wrzątkiem. W tej chwili staje mu w myśli Hildegarda. Widzi ją w białej sukni z mirtem na głowie, ubraną do ślubu. Marzenie o przyszłym szczęściu porywa go. Zapomina gdzie jest i co robi. Z zewnątrz dał się słyszeć głos. Herbert nie zwrócił nań uwagi, pogrążony w marzeniach.

Nagle zbliżył się doń ktoś z nienacka. Widmo. Głowę miało okręconą płachtą, a szarą kurtkę zarzuconą na plecy. Herbert stał nieruchomo nie zwracając na to uwagi. Widmo zaś, wstrzymując dech, kocim krokiem stanęło tuż za nim. Był to Hertner. Wyprostował się nagle, porwał Herberta w swe herkulesowe ramiona i rzucił w kipiący metal. Stało się to tak błyskawicznie szybko, że Herbert nie miał czasu krzyknąć.

W piekielnym płynie zakotłowało się i zaśyczało na chwilę. Zbrodniarz nachylił się i czekał, aż powierzchnia płynu przybierze barwę czerwono-rdzawą...

Następnie, potworny morderca podsycił jeszcze ogień, zamieszał żelaznym drągiem, czy nie napotka jakiej części stałej... Nie. Wszystko było już tylko płynem... Nieszczęśliwy Herbert poniósł śmierć na miejscu. Jego pocziwe kochające serce zlało się w jedno z metalem, by być sercem dzwonu...

Dzwon odlano pod okiem dozorca Betzel, zdziwionego niesta-

wieniem się do pracy przeznaczonego robotnika Herberta, na co użalał się Hertner.

Nazajutrz dopiero znaleziono zegarek i papiery Herberta w kącie pracowni. Hertner pierwszy począł żałować zaginionego towarzysza. Lecz gdy rozbito formę i wyjęto z niej dzwon nowy — jego otwór okrągły zdał się Hertnerowi podobnym do oka, które nań spojrzało rozpacznie. Na ten widok zadrżał... Widmo Herberta stanęło przed nim jak sędzia potężny a mściwy...



Nieszczęsny został inwalidą...

Ta myśl, ten obraz nie opuścił go odtąd nigdy. To było przyczyną jego dziwnego zachowania w czasie poświęcenia dzwonu. Usłyszawszy, że go ochrzczono imieniem „Herbert” — skamieniał. Oto zemsta dzwonu... Oto kara nieba... Tak. „Herbert” się nazywa dzwon, bo w nim jest Herbert Greuznac i jego serce jest

sercem dzwonu... I ono będzie nieść na świat skargę nań, przypominać mu nieustannie jego zbrodnię. Tak! odtąd będzie Herbert dzwonił...

I tak się stało.

Każdy dźwięk dzwonu jęczał mu w uszach, kwilił i wołał głosem rozpaczki o pomoc — głosem, sercem Herberta Greuznac... Nie mogąc tego znieść, postanowił zmienić miejsce pobytu. Wtedy uległ wypadkowi i okaleczał. Przykuty do miejsca, musiał codzień słuchać tej piekielnej dlań muzyki metalowego serca.

Była to znów zemsta dzwonu — kara nieba.

IV.

Ale na tym nie koniec...

W domu Hertnera panuje smutek gnębiący, rozpaczliwy, straszny. Młoda gospodyni, która była ożywym duchem tych ścian — dogorywa. Jej choroba równie nie zbadana jak lęk jej męża... Hertner skulony w kącie, blade, ogłupiały tym nowym ciosem. Od dnia ślubu zajęty tylko sobą — swoim wnętrzem — nie zwracał na żonę uwagi, nie widział jak gasła z dniem każdym. Teraz dopiero przejrzał, ale za późno...

Cóż on widzi w śmierci tej opiekunki? — Zadosyć uczynienie! Oh! ciężko, ciężko przyszło mu płacić za zbrodnię przeszłości!... W takich myślach pogrążony patrzy z przerażeniem na twarz chorej. W tej chwili ozwał się z wieży dzwon.

— Herbert! — szepnął z przerażeniem. Herbert ją woła... wzywa do siebie... i patrzył rozwartymi oczyma na chorą.

Podniosła głowę i nadśluchiwała.

— Herbert cię woła — jęknął.

Twarcz Hildegardy rozjaśniła się na moment. Odetchnęła jeszcze raz głęboko i — skonała.

Na twarzy Hertnera malował się żal, rozpacz i wściekłość.

— Żonę mi zabrał — rzekł do siebie. Żonę mi zabrał — mści się... Jeszcze urąga mi i dzwoni drwiąco... Ona już u jego boku, a ja tu sam... sam jeden... nie ma jej... nie ma mego anioła... zabrał ją... Herbert zabrał ją...

I drwi ze mnie... szydzi... Nie dość mu zemsty... Szydzi... Jak oszalały wybiegł z domu i pędem skierował się w stronę kościoła.

Dzwon umilkł. Kościelny zeszedł z wieży, lecz nie zamknął wejścia. Hertner wpadł po schodach na górę. Metalowy olbrzym jeszcze dźwięczał jakby żywy i drgał. Hertnerowi się zdało, że słyszy szydercze przedrzeźnianie Herberta... Pogroził pięścią olbrzymowi.



Wzywasz mnie?!...

— Syty już jesteś zemsty? Ty w piekle poczęty! Czy mi wszystko zabierzesz? Herbert! Herbert! czy nie dość już cierpiałem? Czy nie dość odpokutowałem?... Stał i słuchał, jakby czekał odpowiedzi. Potem, jakby przed kimś niewidzianym a obecnym począł się spowiadać z całego życia. W końcu wyliczył wszystkie swe obawy, udręczenia nocne, straty. Potem spowiadał się z nienawiści doń... groził dzwonowi, zaklinał, błagał, skarżył się jak dziecko... to znów wybuchał niepokohamowanym gniewem, miotał przekleństwa... Podniecenie jego potęgowało się...; przechodziło w szal na widok majestatycznie milczącego dzwonu. Podniósł ku niemu załamane ręce, błagając i grożąc. Serce rozsadało mu piersi, waliło młotem w skroniach, szumiało w uszach...

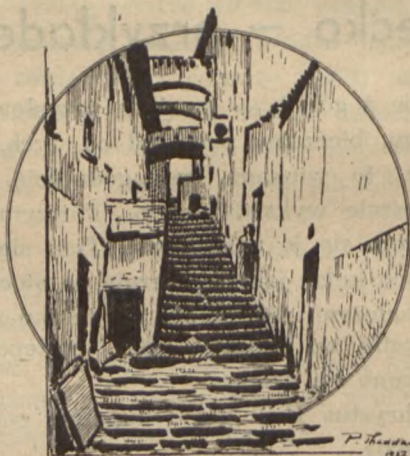
Nagle sowa, ukryta gdzieś w dzwonnicy, przestraszona zerwała się i w błędnym locie wpadła do środka dzwonu trzepotając

skrzydłami. Poruszyła serce metalowe. Uderzyło w dzwon. Dzwon jęknął głucho, jak przekleństwo... Hertner chwycił za stojący obok kłoc, podstawił go, wspiął się na nim i okręcił sobie sznur dzwonu koło szyi.

— Przekląłeś mnie, potępiłeś mnie! Ha! tom potępiony — wyrzeźbił z trwogą. Niech umieram jak potępiony!... Kopnął mocno stołek i — zawisł na dzwonie...

— — — — —
Wieczorem dzwon, oswobodzony od ciała samobójcy, ogłosił światu zgon małżonków Hertnerów. Cała wieś była poruszona. Umysły pracowały nad wyjaśnieniem tajemnicy zagadki, jaką było życie obojga zmarłych. Ale tylko jeden kościelny, który przypadkiem wysłuchał osobliwej spowiedzi nieszczęsnego zbrodniarza, wiedział prawdę...

S. Lydiani.



*P. Theodan. opus.
1917*



Dziecko — przykładem

„Przykład idzie z góry“, — powiada przysłowie. Czyli, mówiąc innymi słowy, bierzemy przykład od tych, którzy przewyższają nas czy to wiekiem, czy godnością, stanowiskiem wyższym, czy wreszcie wykształceniem. Patrzymy na ich postępowanie i staramy się je naśladować. Tym się też tłumaczy ogromny wpływ tych ludzi, jaki wywierają na otoczenie — i najczęściej jacy są przełożeni: dobrzy czy źli, takimi z biegiem czasu staną się jednostki im podległe. Tak postępował świat od wieków i dziś to samo się dzieje.

Tymczasem Chrystus Pan głosił zupełnie coś przeciwnego tej światowej zasadzie.

W Ewangelii św. Mateusza w rozdz. 18 tak czytamy:

„Onej godziny przyszli do Jezusa uczniowie, mówiąc: Kto mniemasz, większym jest w Królestwie Niebieskiem? A Jezus, wezwawszy dziecko, postawił je w pośrodku ich i rzekł: „Zaprawdę powiadam wam, jeśli się nie nawrócicie i nie staniecie się jako dzieci, nie wnikdziecie do Królestwa Niebieskiego“.

Boski nasz Zbawiciel tymi słowy strofował swych uczniów, którzy sprzeczali się między sobą o pierwsze miejsce w niebie. A stawiając im za wzór małe dziecię, chciał ich przede wszystkim nauczyć pokory. Mówił bowiem dalej: „Ktokolwiek tedy uniży się, jako to dzieciątko, ten jest większy w Królestwie Niebieskim“.

Pragnął Boski Mistrz mieć uczniów swych tak pokornymi, tak prostodusznymi i małymi, jako dzieci.

Z dalszych zaś słów Jezusa: „A ktoby zgorszył jednego z tych małych, którzy we Mnie wierzą, lepiej by mu było, aby zawieszono kamień młyński u szyi jego i zatopiono go w głębokości morskiej“, — dowiadujemy się jak wielką jest wartość, jak cenną jest świętość i niewinność duszy dziecięcej. Dlatego jedną z najcięższych zbrodni, jaką świat popełnić może, jednym z największych grzechów, na który Chrystus mówi „biada“, jest zgorszenie niewinnych dzieci.

Ale słowa naszego Odkupiciela: „Jeżeli nie staniecie się jako dziatki“... — mają jeszcze głębsze znaczenie. Kryją te słowa ogromną tajemnicę, nieznaną światu starotestamentowemu, tajemnicę tego serdecznego, pełnego jasnej miłości, dziecięcego stosunku nas samych do Boga. Naród Izraelski bowiem czczył Boga jako swego wszechmocnego Pana i sprawiedliwego Sędziego, nie zbliżał się do Stwórcy inaczej, jak z bojaźnią wielką i ze drżeniem.

Tymczasem Chrystus Pan każe swym wyznawcom być w stosunku do Boga jak dzieci do rodziców. Każe nam modlić się: „Ojcze nasz!...“

Przypatrzmy się więc duszy dziecka i jego zachowaniu się względem rodziców, a wyciągniemy stąd wnioski, jak my powinniśmy odnosić się do Stwórcy naszego.

Nie można tego świata, ale dobre, niewinne dziecko, nie zatrute jeszcze oddechem grzechowym świata, niech nam będzie przykładem.

1. *Wiara.* Dobre dziecko wierzy wszystkiemu, co rodzice jego mówią. Wierzy tak szczerze i mocno, że nawet przez myśl mu nie przejdzie, by mogło być coś niezgodne z opowiadaniem mamusi, tatusia. Nie wie jeszcze, co to kłamstwo, co to wykręty.

„Myśl dziecięca patrzy jeszcze przez serce czyste i proste, które jak w tęczę wpatruje się w prawdę i dalej nieraz sięga, niż mędrca szkiełko i oko“. (J. Żukowski: „W krainę dziecka“).

Ciekawość jest jedną z zasadniczych cech tego małego człowieka. Jest on od rana do zmroku w ustawicznym ruchu. O wszystko pyta, co to jest, wszystkim się interesuje, wszystkiego dotknie. Głębiej jednak nie usiłuje badać i, skoro się dowie „co to jest“, zadawała się; nie pyta, „dlaczego tak jest, a nie inaczej“, „poco ta rzecz tu jest, nie gdzie indziej“. W delikatnym umyśle dziecięcym nie zjawia się jeszcze krytycyzm.

Ale już najbardziej rozwinięta jest u dzieci ciekawość w dziedzinie wiary i rzeczy Bożych. Patrzy jak ta mała istota z roziskrzonymi oczętami i rozwartą buzią — co ma wyrażać i zachwyty i podziw — słucha opowiadania matki, ojca lub księdza: o Bogu, o małym Jezusku i Jego Matce, o aniołach itd. Ta ciekawość i ten pociąg ku Bogu jest zapewne powodem sympatii, jaką dzieci zwykle obdarzają kapłanów.

Nam dorosłym daje dziecko wzór, jak mamy wierzyć w artykuły i dogmaty wiary katolickiej. Mamy wierzyć mianowicie silnie, w tym poczuciu, że nam to wszystko Bóg objawił, Bóg-Prawda najwyższa, która mylić się nie może. Mamy wierzyć bez cienia powątpienia, bez najmniejszej dawki krytyki. Nie powinniśmy pytać Opatrzności, dlaczego tak, a nie inaczej zrzędziła, nie powinniśmy badać wyroków Bożych, ale wierzyć tak prosto, jak dziecko. Skoro Bóg tak zarządził, to musi być najlepiej, bo On jest najwyższą Mądrością.

Ciekawość zaś dziecka w poznaniu wszystkiego, co go otacza, szczególnie ta święta ciekawość w rzeczach Bożych, niech nam będzie pobudką do pilnego starania się, by coraz to lepiej poznawać doskonałości Boże i Jego Wolę najświętszą, by ustawicznie rozszerzać i pogłębiać swe wiadomości o zasadach wiary katolickiej.

2. *Nadzieja*. Małe dziecko święcie ufa, że, co mu mamusia przyobiecała, pewnością dostanie, pewne jest, że mamusia dotrzyma swej obietnicy. Dowodem jest to, że długo i dobrze pamięta o tej obietnicy, a nawet upomina się o nią. Oto króciutki przykład:

Zjeżdżają niespodziewanie do pewnej rodziny goście-

krewni. Matka-gospodyni krząta się zakłopotana, biega tu i tam, a za nią krok w krok płacze się dziecko. Przeszkadza jej tylko. Matka wtedy mówi: „Słuchaj, Broniu, dzisiaj baw się sama i bądź grzeczna, bo dziadus przyjeżdża. Jak będziesz grzeczna, to dam ci coś wieczorem“. Mała Brońcia siada cichutko w kątku i bawi się laleczką. Do dziadzi uśmiecha się potem milutko i grzecznie z nim rozmawia. Pod wieczór zaś, zmęczona całodziennymi wrażeniami, idzie do łóżeczka. Matka bawi jeszcze gości, wkońcu i oni idą spać, a matka udaje się do pokoju Brońci, by też pomodlić się i spocząć. W tem, gdy stroskana modli się przy migocącej słabo lampce, wśród ciszy podnosi się srebrzysty głosik: „Mamusi, a co mi mamusia obiecała?“. To mała Brońcia obudziła się, pamiętała o nagrodzie.

Oby i w naszym sercu płonęła ta żywa nadzieja, że, co Bóg przyrzekł za nasze dobre, pobożne, według woli Jego życie ziemskie, to nam da pewnością. Oby ta nadzieja nagrody wiecznej była dla nas bodźcem, pobudką do zachowania przykazań Bożych i do prowadzenia prawdziwie chrześcijańskiego życia.

3. *Miłość*. Dobre dziecko kocha swych rodziców tą instynktowną, gorącą, płynącą z głębi serduszka miłością. Widzi ono objawy miłości rodziców ku niemu i to mu wystarczy, więcej dowodów nie potrzebuje.

Gdy zobaczy matkę lub ojca wracających z pracy, rzuca wszystko: zabawki, towarzystwo innych dzieci i biegnie z wyciągniętymi rączkami naprzeciw ukochanych rodziców. I tuli się do nich miłośnie, uśmiechnięte, radosne.

O! gdybyż to serca nasze mogły gorzeć tą dziecięcą miłością, tym serdecznym „z całej duszy i ze wszystkich sił“ ukochaniem Ojca naszego niebieskiego. Gdybyśmy Boga kochali dlatego, że On nas umiłował i że daje nam ciągłe, nieustanne dowody Swej miłości ku nam to zaiste, byłibyśmy naprawdę szczęśliwi. Porzucilibyśmy wszystko: nasze przywiązania i zachcianki, i to, co tylko nie jest zgodne z wolą Bożą, a przylgnęlibyśmy do Stwórcy całą siłą naszej miłości. Bylibyśmy szczęśliwi tym szczęściem Świętych, szczęściem z posiadania umiłowanego Boga, bylibyśmy podobni dzieciom małym tulącym się miłośnie do swych rodziców.

4. *Pełna zależność od Boga*. Dobre dziecko wie, że wszystko, co posiada, dostało od rodziców. Spróbujmy je spytać tak

znienacka: „Skąd ty masz tę zabawkę?“ Zaraz odpowie: „Mamusia mi dała“. Co więcej, zapytano raz czteroletniego chłopczyka: „Czyj ty jesteś, Zbysiu?“ „A, — mamusi i tatusia“ — odrzekł rezolutnie malec.

Jak proste choć naiwne w swej prostocie odpowiedzi!

A my jakbyśmy odpowiedzieli, gdyby nas zagadnięto, skąd mamy ten dom, to pole, te bogactwa? Czyje to wszystko, co mamy, kto nam je dał? Oto Bóg, nasz Ojciec najlepszy. A my, czyjmi jesteśmy dziećmi; kto nas stworzył, odkupił, uświęcił i utrzymuje przy życiu!?”

Jakaż głębia myśli w tych pytaniach! Nic nie mamy swego, nawet my sami nie należymy do siebie.

„Albowiem żaden z nas nie żyje i żaden z nas sobie nie umiera... Pańscy jesteśmy“ (List św. Pawła do Rzymian, rozdz. 14).

Ta myśl powinna w nas wzbudzić wielką pokorę ze względu na naszą nicość, ale zarazem miłość i radość głęboką, bo przecież do Boga należymy, dziećmi Bożemi jesteśmy.

5. *Ufność i zupełne zdanie się na wolę Bożą.* Dobre dziecko jest pełne ufności ku rodzicom, czuje, że oni je kochają i pragną jego szczęścia; jest przekonane, że nic złego od nich je nie spotka, dlatego z takim rozbrajającym spokojem zasypia na łonie matki, zupełnie nie troszcząc się o swą przyszłość.

Nieskończenie więcej niż matka swe dziecko, ukochał Bóg nas wszystkich i dlatego, by nas uszczęśliwić, gotów był na największą ofiarę. „Tak Bóg umiłował świat, że Syna Swego Jednorodzonego dał, aby każdy, który wierzy weń, nie zginął, ale miał żywot wieczny“. (Ewangelia św. Jana, rozdz. 16, w. 27). I ten Bóg - Ojciec kochający nie jest gdzieś w niedosiężnej dali, ale znajduje się tuż przy nas, jest bowiem wszędzie obecnym. „Albowiem w Nim żyjemy, ruszamy się i jesteśmy“. (Dzieje Apost., rozdz. 17, w. 28).

Bądźmy więc spokojni i zaufajmy zupełnie Dobroci i Wszechmocy Stwórcy. Niczego się nie obawiamy, jedynie świadomej i dobrowolnej niewierności względem Niego, a z miłością i ze spokojem przyjmujemy wszystkie zarządzenia Opatrzności.

Patrzmy, jak takie maluchne dziecko jest niemocne, nieu-

dolne i niezaradne, jak niezdarnie stawia swe pierwsze kroki, szukając oparcia i chwytając się sukni mamusi.

A my, czyż innymi jesteśmy w oczach Bożych? Jesteśmy właśnie takimi niezaradnymi dziećmi, bo skoro tylko zechcemy iść przez życie samowolnie, bez oparcia o łaskę Bożą, zaraz upadamy. Jako to dziecko więc stąpające u boku matki, tak i my powinniśmy, wzywając nieustannie naszego Ojca w Niebiesiech, stawiać kroki na drodze do doskonalszego, świętszego życia.

Ta mała istota ma duszyczkę wrażliwą i miękką jak wosk, podatną do urabiania i kształcenia przez rodziców. Nauki rodzicielskie, jak ważne ziarna, padają na urodzajną glebę młodego serduszka, gdzie starannie są przechowywane.

Jakże wobec tego dziecka powinniśmy się zarumienić ze wstydu my, którzy tak często jesteśmy oporni wobec świętych natchnień i poruszeń łaski Bożej; my, na których słowo Boże, czyto czytane czy słyszane, żadnego już wrażenia nie sprawia.

6. *Pokuta.* Dobre dziecko stara się nie czynić nic takiego, co by mogło kochanych rodziców zasmucić. Jeżeli zaś popełni jakieś przewinienie, to natychmiast biegnie do mamusi, tatusia, przeprasza ich serdecznie, przyrzeka, że tak więcej nie postąpi i znowu jest na serdecznej stopie z nimi. Wprawdzie jest już ostrożniejsze na przyszłość, ale błąd, jaki popełniło, że ośniemiela je względem rodziców i nie oziębia tej dziecięcej miłości ku nim. Duszyczkę maleństwa znowu opanowuje radość, wesołość bez troska.

Postępujemy i my podobnie w stosunku do Boga. Nie zasmucamy Go dobrowolnymi przekroczeniami Jego zakazów choćby w małych rzeczach. A gdy się przytrafi nieszczęście, że popełnimy jakiś grzech, nie ociągamy się przeprosić naszego Ojca, ale w najkrótszym czasie zmyjmy winę naszą przez szczery żal i Sakrament Pokuty. Starajmy się potem kochać Go jeszcze bardziej. Grzech odpuszczony niech nie będzie przegrodą między nami a Stwórcą, niech nie psuje dziecięcego stosunku naszego z Nim, ale niech napowrót zapanuje radość w sercach naszych, żeśmy znowu przywróceniu do godności synowstwa Bożego.

7. *Modlitwa.* Niewinne dziecko udaje się we wszystkich swych dziecięcych kłopotach i zmartwieniach do rodziców

i szczerze i otwarcie wyjawia je przed nimi. Instyktownie czuje, że ojciec, matka najlepiej mu poradzi. A skoro o coś prosi, to zaraz rączkę wyciąga, tak jest pewne skutku swej prośby.

Oto przykład, jak się modlić! Mamy się uciekać we wszystkich naszych strapieniach, pokusach i dolegliwościach do Ojca Niebieskiego. On nam we wszystkim zaradzi, pomoże. Niech dla nas ta rozmowa z Bogiem tak będzie miłą, jak dla dziecka pogadanka z mamusią.

Możemy nieraz widzieli taką wzruszającą scenę: Mały bobo siedzi u stóp matki i, wpatrując się w jej oczy, zadaje jej niestrudzenie najrozmaitsze pytania. Matka z robótką w ręku, radośnie uśmiechnięta, odpowiada na wszystko i wyjaśnia cierpliwie, łagodnie. Są to najmiłsze chwile dla nich obojga.

Starajmy się i my o to, by mieć jak najwięcej takich chwil, spędzonych na rozmowie z Bogiem, na spełnianiu dobrych uczynków i swoich obowiązków, bo to też jest modlitwą. Zanośmy do Wszechmocnego nasze prośby z gorącą wiarą, że On nas wysłucha. Wszak Chrystus Pan sam powiedział: „Jeśli o co prosić będziecie Ojca w Imię Moje — da wam“. (Ewangelia Jana, rozdz. 16, 23) i na innym miejscu: „Proście, a będzie wam dano,„ szukajcie, a znajdziecie, kołaczcie, a będzie wam otworzono“. (Ewang. Mateusza, rozdz. 7, w. 7). Bo zważmy, czy Bóg odmówiłby nam czegoś, co tylko może posłużyć do zbawienia naszej duszy, On, dobroć sama, nieskończenie kochający nas Ojciec?

Stańmy się więc dzieckiem niezaradnym wobec Stwórcy i mówmy: „Ojcze nasz!...“ Taka modlitwa będzie prawdziwie modlitwą dziecięcia Bożego do swego Ojca w niebie.

Takimi chciał nas mieć Chrystus, gdy mówił: „Jeżeli nie staniecie się jako dziatki“..., pokornymi, świętymi, kochającymi Boga całym sercem. Chciał, byśmy mieli duszę dziecka, niezmażaną brudami grzechowymi, jaśniejącą blaskiem łaski.

Bo też piękną musi być ta dusza dziecięcia, wartością swą przewyższająca wszystkie skarby ziemi, a godna samego nieba, — skoro Zbawiciel nasz oburza się na gorszyieli strasznym „biada“.

Stąd trafnie spostrzega wielki miłośnik dzieci, bajkopisarz polski, Julian Ejsmond: „Poprawiać, określać dzieci, to tak, jakbyśmy chcieli poprawiać słońce, malować niebiosą, bielić anioły, albo róże sztucznie czerwienić. Gdyby Pan Bóg nie stworzył nic piękniejszego prócz dziecka, ziemia i tak byłaby rajem“...

W. Miziniak.

POD STOPY KRZYŻA

Dużo cierpiałem.... lecz koniec się zbliża,
Z uspokojeniem po przebytej męce —
Pójdę, o Chryste, do stóp twego krzyża,
Wyciągnąć znowu z utęsknieniem ręce,
I witać ciszę zachodzącej zorzy,
Która mnie w prochu u stóp twych położy.

Nie pomnę modlitw, com niegdyś ze skruczą
Przy boku matki powtarzał niewinny.
Te utonęły w fali życia głucho,
I odkąd w gruzy padł mój raj dziecinny,
Odkąd mi zbrakło ojczyzny i domu,
Nie otworzyłem mej duszy nikomu!

Nawet przed Tobą nie mogłem, o Panie,
Wydobyć płaczu z mej piersi ściśniętej,
Bo wzrok mój padał w bezdenne otchłanie,
A tyś mi zniknął na krzyżu rozpięty,
Z pośród pokoleń rozrzuconych kości,
Za ciemną chmurą krwi, łez i nicości.

Ręką ziemskiego dotknąłem się błota,
Widziałem zbrodnię, nie widziałem kary,
Oprócz boleści i nędzy żywota
Nic nie znalazłem i brakło mi wiary.
I dalej w ciemność poszedłem z rozpaczą,
Zazdroszcząc ludziom, co na grobach płaczą.

Widziałem trwogę i niemoc konania,
 Widziałem duchów hańbę i upadek —
 Lecz nie widziałem nigdzie zmartwychwstania,
 I próżnych męczeństw przerażony świadek,
 Patrząc na niebo, co nigdy nie dnieje,
 Straciwszy wiarę, straciłem nadzieję.

Kochałem jeszcze biedne ludzkie cienie,
 Które na stosach palą się i świecą,
 Myślałem bowiem, że biegnąc w płomienie,
 Wiedzą przynajmniej dlaczego tam lecą,
 I że przyjmując każdy ból i ranę,
 W piersiach anielstwo noszą nieskalane.

Lecz gdym obaczył, skąd te wszystkie czyny,
 Swój tajemniczy początek wywodzą:
 Skąd wyrastają ścieżki krwią wawrzyny,
 Gdzie upadają ci, co w niebo godzą,
 I gdy wnikać w serce zranionych ciemność,
 Za każdym bolem znalazłem nikczemność.

Natenczas miłość stała się podobną
 Do nienawiści smutnej i posępnej,
 I przeklinałem tę rzeszę żalobną
 I pogardzałem nimi — sam występny...
 I mścić się chciałem za gorycz zawodu,
 Żem nie mógł kochać jak dawniej — za młodu.

Tak więc w mej duszy zburzonym kościele
 Została straszna pustka i samotność,
 Sam jako nędzarz zostałem w popiele
 I własną badać zacząłem przewrotność
 I wszystko w sobie znalazłem to samo,
 Co mi się zdało być u innych plamą.

Wszystkie pragnienia nędzne, brudne, liche,
 Co kłamią tylko pozór wyższej cnoty,
 Olbrzymią nicość i olbrzymią pychę,
 Znalazłem na dnie swej własnej istoty,
 I tak swe serce rozpoznawszy chore,
 Straciłem w sobie ostatnią podpórę.

Lecz ta upadku właśnie ostateczność,
 Co mnie w bezdennej pogrzyżyła nocy,
 Dała mi poznać wszechwładną konieczność
 Wyższej a razem nieskończonej mocy.
 I moja rozpacz szalona i trwoga
 Świadczyła jeszcze o potędze Boga.

Na mojej piersi spoczywał schowany
 Maleńki krzyżyk ze stoniowej kości:
 Świadek młodzieńczej wiary nieskalanej,
 Dar macierzyńskiej najczystszej miłości,
 Co przetrwał wszystkie burze i szaleństwa
 Znakiem cichego, boskiego męczeństwa.

Kiedy go teraz na piersi zbolątej
 Po latach tylu znalazłem niewierny,
 Tak mi się wydał znowu jasny, biały,
 Taki potężny i tak miłosierny,
 Że znów tęsknotą zadrżało mi łono
 Za tą postacią tyle uwielbioną!

I powitałem światło wiecznie nowe
 Z tych jasných ramion krzyża tryskające,
 I na skrwawione stopy Chrystusowe
 Tak samo lałem moje tży gorące,
 Jak wówczas, kiedym poił serce młode,
 Patrząc na mistrza nadziejską pogodę.

I znów słyszałem te boskie wyrazy :
 „Chodźcie tu do mnie wy, którzy cierpicie,
 „Chodźcie tu do mnie leczyć ziemskie zmary,
 „We mnie jest spokój i we mnie jest życie,
 „Nie płaczcie próżno na świeżej ruinie,
 „Wszystko przemija, prawda nie przeminie!“

Więc postuchałem słodkiego wezwania —
 I oto idę z mym sercem schorzałem,
 I pewny jestem twego zmiłowania,
 Bom wiele błądził lecz wiele kochałem,
 I drogi życia przeszedłem cierniste...
 Więc Ty mnie teraz nie odepchniesz Chryste !

ADAM ASNYK.





(z francuskiego).

Markiza de Sudy siedziała przy otwartym oknie swego pałacu. Z ogrodu płynęła woń róż i jaśminu. Markiza chciwie wciągała ją pełnym oddechem i słuchała uważnie, co mówił siedzący naprzeciw niej młody duchowny.

Promienie słońca wpadały do komnaty, ożywiały martwe desenie bogatego kobierca i jakąś niepojętą aureolą zdobiły białą głowę pani tego luksusowego domu, uwydatniając jej postać kształtną, o prostych — mimo podeszłego wieku — liniach.

Gościem jej był młody, trzydzieści lat najwyżej liczący, nowomianowany proboszcz ze sąsiedniej wioski. Wioskę, kościół i plebanię widać było opodal, otulone w gęste gaje. Ks. Deneff nie cały rok piastował godność proboszcza, a już parafianie nie mogli się go dość nachwalić. Umiał zaradzić duchowym potrzebom. Z prawdziwym też zapałem i energią zabrał się do budowy nowego kościoła, do powiększenia szkoły i rozszerzenia ochronki.

Proboszcz bywał częstym gościem w pałacu. Markiza de Sudy przyjmowała go zawsze z arystokratycznym wdziękiem i prostą, szczerą uprzejmością. Nie szczędziła wsparcia już to w pieniądzu, już to w ludziach i materiale, lub też radą swą. Hojność jej znaną była szeroko. W tej właśnie chwili roztrząsali projekt bu-

dowy gotyckiej świątyni. Pani de Sudy z uwagą przeglądała plany opracowane przez najlepszego budowniczego okolicy. Proboszcz objaśniał szczegóły, uzupełniał plany i w słowach malował powstającą już świątynię. Markizie słuchającej jego słów zdawało się, że już widzi rosnące mury, marmurowe, smukłe kolumny, lekkie żebrowanie sklepienia i tęcze kolory rozet i witraży, i że słyszy głos dzwonów radosny z wieży nowej świątyni. Zapał opowiadającego proboszcza udzielił się i jej. Uśmiechnęła się.



Proboszcz objaśniał szczegóły....

— Ach! — zawołała — czemuż tak długo musimy czekać na tę szczęśliwą chwilę. Kto wie, czy jej doczekam. Wszak dopiero fundamenta założono.

— Cierpliwości, trochę cierpliwości — odparł duchowny. To pójdzie szybko naprzód, bardzo szybko. Przekona się pani o tem.

Czoło proboszcza promieniało radością. To dzieło było jego marzeniem i celem. O tym myślał i mówił.

— Czcigodna pani dobrodziejko — dodał — nie można wątpić, iż tej chwili doczekamy. Opatrzność czuwa nad nami.

Wpadł w zapał kaznodziejski i w słowach głębokich rozwijał swe myśli. Markiza słuchała ze skupieniem. Gdy skończył, poprosiła go, by sobie zapamiętał, co mówił i tych samych słów użył do uroczystego kazania w dniu poświęcenia nowego kościoła.

Na chwilę zapanowała w pokoju cisza. Przerwała ją Markiza pytaniem.

— Czy matka księdza proboszcza żyje jeszcze?

— Niestety, pani, matki mej nie znałem, odrzekł ze smutkiem.

— O! szkoda, wielka szkoda! Jakżeby się czuła dumną, szczęśliwą z takiego syna — szepnęła ze współczuciem Markiza. Oczy przy tym nabiegły jej łzami. Myśli jej pobiegły ku jakiejś tajemnej boleści. Widać miała tajemnicę bolesną, o którą w rozmowie dotknęła.

Zasępił się i duchowny. Moja biedna matka... rzekł i nawet nie skończywszy zdania. Łzy zaświeciły mu w oczach. Markiza uszanowała boleść i nie dotykała już tej sprawy. Przy odejściu prosiła jeszcze o dodanie na jej koszt dwu witraży, poświęconych pamięci jej drogich zmarłych.

II.

Z Nicei do Sudu prowadzi szeroki, wygodny gościniec. Z wielkim trudem, bardzo wolno toczy się po nim wóz cygański. Dwa chude i wycieńczone konie drobią z mazołem nogami i płaczą się i zataczają z lewa na prawo i z powrotem. Z najwyższym wysiłkiem ciągną stary grat, przykryty budą. Są strasznie głodne. Gdyby nie bat, który sterczy na przodzie z pod płachty i co chwila z sykiem tnie je po ścięgnach tylnych ud, skrzyłyby do rowu i rzuciły się na trawę z wilczym apetytem. Ah! jak są głodne! Czy oszaleli ci ludzie, że je tak pędzą bez wypoczynku? Toż od kilku dni nic tylko wio i wio! Zaledwie na noc coś przegryźć dostaną, a rankiem już ruszać muszą spiesźnie. Nie mogą należycie ani się napić ani wyciągnąć na spoczynek utrudzone gnaty. Co się stało staremu? Czy się boi pościgu jakiego? On był zawsze taki względny dla swoich chaciów. Tak sobie pewnie myślały biedne szkapy w swoich końskich łbach. Z tęsknotą wyglądały końca drogi. Każdy dom wśród pól budził w nich nadzieję, że to już koniec mordegi, że tu staną na popas. Tymczasem nic. Z pod rucho-

mej budy, okrytej płachtą, nadstawianej zgniłemi deskami wysuwa się bat, świszcząc ostro i tnie biedne konie jak nóż. Tak co chwila. Koniska nastawiły słuchy do tyłu i łowią świst batu. Słyszą i rozróżniają go dobrze od strasznego skrzypienia wozu. Nawet i wóz zda się odmawiać posłuszeństwa. Ale nikt na to nie zwraca uwagi.

— Wio! Wiooo! — rozlega się raz w raz. Prędszej, hultaje! Przy tym pośpiechu nie będziemy dziś w Sudy.

Sudy, Sudy! Cóż to za rozkoszna przystań dla tych zdrożnych biedaków, po tylu dniach gorączkowej jazdy. Śliczny, wygodny gościniec z Nicei do Sudy był tym razem dla nich istną drogą krzyżową.

Cierpliwości, biedaki, cierpliwości! Sudy już tuż tuż! Jeszcze tylko parę kroków, kilka uderzeń batem, a buda wtoczy się do wsi i ulży wam.

Sudy.

Wóz stanął. Zbiedzone koniska wyprzagnięto i puszczono na paszę. Pod budą zakotłowało się. Najprzód wychyliły się głowy małych dzieci. Potem za nimi i starzy. Jak młode króliki z półprzymkniętymi oczyma poczęli cyganie sennie, leniwie wyłazić z pod budy. Wydobyto płótna, rozbito namiot, zapalono ognisko. Tłok i krzyk.

— Pinson, wynieś starego — rozległ się głos rosnącego cygana, zapewne wodza tej gromadki.

Po chwili z pod budy ukazała się postać wspaniała: stary cygan z białą, długą brodą, jak patriarcha. Spojrzał na wieś bystro z pod krzaczastych brwi.

— Sudy — wyszeptał półgłosem. Sudy. Poznaję dobrze tę miejscowość. Uśmiechnął się smutno pod białym wąsem, tak jak to zwykli czynić ludzie cierpiący.

— Uważaj Pinson — zwrócił się do cygana, który mu wysiąść pomagał, — czuję, że śmierć się zbliża ku mnie. Mogę skończyć lada chwila. Lecz nim ta godzina wybije, stary Fenor ma do spełnienia ważne zadanie. Dowódca waszej bandy, znany szeroko na świecie ze swych talentów, nie może wyruszyć w wieczną drogę bez dokonania choćby jednego dobrego czynu.

Pinson był zaskoczony tym zwierzeniem. Miał minę zdziwioną i uśmiechnął się sceptycznie. Ale gdy spojrzał na majestatycz-

nego starca, spoważniał i przyjął postawę pełną szacunku. Skoro stary wytrawny wódz tak przemawiał, z powagą, musi mieć ważne powody.

— Ustąpcie! Ustąpcie! — wołał, prowadząc starca ku ognisku i usadowił go pośrodku bandy.

Ogień, podsycany chrustem zebrany w lesie, buchał wysoko. Długimi językami lizał i oplatał żelazny kocioł, stojący nad ogniskiem na wysokim trójnogu. Gotowano, strawa parkotała głośno i pryskała wokół roznosząc z parą woń, mile drażniącą podniebienie. Dzieciaki nagie dorzucały wciąż suchych gałęzi skacząc koło kotła i wpatrując się zgłodniałe w jego zawartość.

Stary Fenor przyglądał się chwilę temu życiu obozowemu z pozornie obojętnym wzrokiem. Nagle wyprostował się, przybrał niezłomny wyraz twarzy, jak by coś stanowczo postanawiał. Skinął na jedno z dzieci i szepnął mu coś do ucha, powtarzając z naciskiem słowo, które chłopak parokrotnie pod nosem powtórzył: „ksiądz Denef, ksiądz Denef — dobrze, ksiądz Denef, zapamiętam. I popędził jak strzała mały posłaniec ku wsi, w kierunku kościoła. Żaden rów, żaden płot nie był mu przeszkodą.

Mało kto z cyganów zwrócił uwagę na tę scenę. Dopiero gdy Fenor począł naglić do spożycia kolacji, zapowiadając przybycie niezwykłego gościa — zdumieli się. Z niedowierzaniem spoglądano nań.

— Tak, tak, gość tu będzie za chwilę — powtarzał stary z ważnością w głosie. I jeszcze jaki! Nie prędko się wam trafią takie odwiedziny. No, zagadnijcie, kto przyjdzie?

Nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Po prawdzie powiedziałwszy — nie życzyli sobie w obozie nikogo. Najlepiej czuli się sami.

Stary, nie mogąc się doczekać odpowiedzi, gadał dalej sam.

— Wiecie kto przyjdzie? Ksiądz! — Proboszcz! Tak, proboszcz tutejszy, którego dobrze znam i wzywam.

— A to po co — zapytał ktoś.

— Zmusza mnie do tego ważna okoliczność. Wasz stary wódz czuje, że śmierć się doń zbliża i chce się przedtym wypowiedzieć.

Cisza zapanowała wokół ogniska. Wszyscy milczeli — nawet dzieci przestały hałasować i słuchały starca. Nikt na twarzy nie zdradził, co myśli o tym zamiarze emerytowanego wodza. Zanadto głęboko tkwił w ich prostych, dzikich duszach szacunek i cześć dla talentu Fenora, by mieli wątpić w jego mądrość i w tej sprawie.

Natomiast oczy wszystkich skierowały się ku wsi, na drogę, którą pobiegł mały posłaniec. A w miarę czekania rosła ich ciekawość. Boć spowiedź w obozie takich, jak oni ludzi jest nie codziennym zdarzeniem. I do tego spowiedź wodza, arcyzłodzieja i obieżyświata.

Po niedługim czasie ukazał się w oddali na drodze ksiądz wraz z cyganiątkiem. Rozmawiali przyjaźnie.

Gdy ksiądz zbliżył się do obozowiska, stary Fenor podniósł się na jego powitanie. Przedstawił duchownemu bandę i wyjaśnił powód zaprosin.

— Czuje się chorym. Czuje, że śmierć już koło mnie — mówił ze wzruszeniem i przejęciem. Zanim mię weźmie, chcę zrzucić z duszy ciężar grzechów. Chcę otrzymać rozgrzeszenie i naprawić błędy, zwłaszcza jedno wielkie przestępstwo. Chcę to wyjawiać publicznie, otwarcie, wobec towarzyszy, by im dać dobry przykład. Pytający wzrok podniósł na twarz duchownego. Głęboka bruzda przecięła mu czoło.

— Słucham was chętnie, dobry przyjacielu — odrzekł ksiądz.

Stary usiadł z powrotem i oparty o ramię nieodstępnego Pinson'a z przymkniętymi oczyma mówił:

— „Ojcze duchowny! Byłem ochrzczony, przystąpiłem nawet do spowiedzi i pierwszej Komunii Św., lecz to było wszystko, com dla duszy i Boga w życiu uczynił. Odtąd popełniałem wszystkie grzechy, jakich się dopuścić można. Najwięcej zaś kradłem: konie, wozy, owce. Jedynie krwią ludzką nie zmazałem rąk. Pod tym względem jestem czysty jak nowonarodzone dziecko. Prócz tego popełniłem jedną wielką zbrodnię...”

Tu twarz starca zbladła i poczęła lekko drgać. Głos stał się cichszy i urywany. Z wysiłkiem widocznym ciągnął jednak swe wyznanie.

— „Zbrodnia ta właśnie nie daje mi umrzeć spokojnie... Posłuchaj Ojczy! W mojem awanturniczym, włóczęgowskim życiu adoptowałem dziecko cygańskiego rodu. Była to dziewczyna. Kochałem ją i pielęgnowałem jak własną. Nazywała się Karmen. Ach Karmen, moja Karmen! Ona była całą moją radością i szczęściem i wszystkim. Kiedy miała lat dwadzieścia wydałem ją za męża, za najdzielniejszego zucha z naszej bandy. Myślałem, że ją uszczęśliwię. Niestety, stało się inaczej. Wy tam między sobą powiadacie: jak się ożeni — to się odmieni. I ja tak myślałem. Nie wiedziałem jednak, że jeden pijak się nie odmieni, nigdy. Wydałem więc Karmen za cygana, których czasem lubiał się upić. Po ślubie w jakiś czas rozpił się jeszcze bardziej. W takim stanie żonę, moją drogą Karmen, bił niemilosierdzie. Mnie, jako wodza bał się, ale po pijanemu zapominał o karze i dręczył biedną. Szczęściem w niespełna rok zakończył życie. Tuż po jego śmierci Karmen została matką syna. Było to dziecko zupełnie do niej podobne. W niem znalazła matka nagrodę za swe cierpienia i pociechę życia. Odtąd żyła dla dziecka. A było dla kogo, bo synek rósł, rozwijał się coraz piękniej, jakby jakie nie cygańskie, ale pańskie dziecko. Był też zupełnie podobny do matki. Wkrótce stał się ulubieńcem wszystkich. Cała banda przepadała za nim.

W trzecim roku życia zachorował ciężko i — umarł. Strasznie wspomnieć tę śmierć! Biedna matka tuliła trupa do piersi, nie mogąc się z dzieckiem rozstać. Po pogrzebie usiłowała odebrać sobie życie. Czuwałem nad nią i starałem się ją uspokoić. Pocieszałem się nadzieją, że czas jej ranę uleczy. Niestety! — wszystko na próżno! Wygrzebała dziecko z powrotem. W obłądnie szaleńczym wierzyła, że żyje. Pieściła go, tuliła do siebie i tak żyła wśród nas. Ile razy próbowaliśmy jej odebrać trupka — wpadała we furję. Jej stan bolał mnie niewymownie. Przemysliwałem nad sposobem ratowania jej, aż nadarzyła się sposobność.

Na jednym z naszych postojów zauważyłem chłopczyka bawiącego się z boną w ogrodzie wiejskiego pałacyka. Chłopiec ten był uderzająco podobny do syna Karmen. Na jego widok powstał w mej myśli od razu plan porwania go. Karmen jest na pół obłąkana. Wierzy, że syn jej żyje — pomyślałem. Jeśli jej w no-

cy podsunę tego skradzionego chłopaka, nie pozna, że to obcy. Owszem, uwierzy, że jej i wróci z radości do siebie.

Jak postanowiłem, tak uczyniłem.

Skradzione dziecko przywróciło mojej Karmen zdrowie umysłu“.

Stary cygan przerwał na chwilę wyznanie. Nieśmiało otworzył oczy i z drzeniem w głosie zapytał :

— Ojcie duchowny, czy Wszechmocny może przebaczyć taką zbrodnię?



— Mów dalej, synu — wyszeptał proboszcz łagodnie. Mów ! Nie pytaj o to, czy Bóg przebaczy. Boga dobroć jest nieskończona, a ludzkie grzechy mają granicę. — Mów do końca.

Zachęcony cygan ciągnął dalej już z otwartymi oczyma, wpatrując się pilnie, badawczo w twarz księdza :

— Zbrodnia ta, choć bezkrwawa lecz ciężka, nie przyniosła szczęścia. W rok później, akurat w dzień porwania chłopaka, moja Karmen w moich oczach, nagle, bez jęku osunęła się na ziemię. Podniosłem ją — już nie żyła.

Stary Fenor przerwał na chwilę. Łzy zaświeciły mu w oczach. Głos stał się na chwilę piskliwy. Załkał, potem opanował się i opowiadał dalej.

Przez kilka lat chłopak żył wśród nas lubiany i uwielbiany. Ale z wiekiem poczęło się ujawniać jego odmienne pochodzenie. Krew niecygańska dochodziła do głosu. Chłopak począł stronić od nas, włóczyć się po wsiach i miastach, gdzieśmy rozbijali obóz i w ogóle okazywał skłonności do innego świata i życia.

Pewnego razu znikł bez śladu.

Dręczony wyrzutami sumienia, zbolały po utracie drogiej Karmen, zaniechałem poszukiwań. Później przypadkowo dowiedziałem się, że znalazł schronienie w wiosce Conig u pewnego puszkarza....

Ksiądz zadrżał na te słowa.

Który nazywał się Bertholt — kończył cygan, wpatrując się w oblicze księdza. Oblicze to pokryło się w tej chwili śmiertelną bladością. Puszkarz zajął się losem biednego chłopca. Przyjął go za swego syna. Dowiedziałem się niedawno, że chłopak obrał sobie stan duchowny.

Ksiądz siedział śmiertelnie blady i oddechał ciężko. Fenor przerwał znów i również począł ciężko dyszeć. Spojrzeli na siebie. Oczy ich spotkały się i — zrozumiały....

Mów dalej, bracie, mów, — wyszeptał ksiądz, — żałujesz za swe przewinienia?

W czasie tych słów Fenor podniósł się, przywołał skinieniem ręki jednego z bandy i szepnął coś do ucha. Tylko prędko, prędko — dodał głośno.

Usiadł z powrotem i mówił dalej:

— Czy żałuję? Ojcie duchowny, nie tylko żałuję, ale tu umyślnie przybyłem, by winę naprawić ile można. Odszukałem to dziecko i chcę zwrócić rodzinie, matce. Wszak tak należało uczynić, nieprawdaż?

— Spełnij to — wyrzekł drżącym głosem ksiądz. Rękę podniósł do rozgrzeszenia.

Wokoło panowała cisza. Cyganie zamarli w słuchaniu. Wyniosła, smukła, blada i udochowiona postać księdza na tle tych oberwańców w łachmanach, zasłuchanych w spowiedź swego wodza, śledzących ruch ręki księdza — przypominała postać Chrystusa w kazaniu na górze.

W tej chwili u wejścia do obozu stanęła Markiza de Sudy. Zatrzymała się zdziwiona.

Stary Fenor zaś wyprostował się i głosem silnym, uroczystym zawołał teatralnie: „Tym skradzionym chłopakiem jesteś ty, księżę proboszczu. Proboszczu Denef, oto twoja matka — Markizo de Sudy, oto zwracam ci syna“. A teraz księżę, rozgrzesz. Łkanie odebrało mu mowę.

Ksiądz proboszcz zrobił znak krzyża...

Za chwilę wisił w objęciach Markizy de Sudy — matki...

S. Sidioni.



„CZARODZIEJ“

(Nowela).

— Mamo, a kiedy tatuś wróci? — pyta Włodzik dzwięcznym głosikiem.

— Moje dziecko, już z pewnością idzie, dziś sobota, wcześniej kończy robotę niż zwykle, a po wypłacie nie idzie jak wielu do... Nie dokończyła, bo drzwi się otwarły, a w progu ukazał się smukły, lecz muskularny mężczyzna.

— No jestem, Marynko, zdrów dzięki Bogu i zadowolony, bo złocisz w kieszeni. Czterdzieści złotych, ty wiesz, to całe trzy tygodnie harówki, to strugi potu. Ha! trudno, taki czas. Masz, schowaj! Będzie to na święta.

Marynka wzięła pieniądze delikatnie, jak jaką świętość, oglądała długo przy lampie nowe dwudziestki, a potem zawinęła starannie w papier i włożyła do szuflady.

Po kolacji Janek leżał wyciągnięty na zydłu i przebiegał w myśli wypadki dnia dzisiejszego. Był zmęczony. Marynka tymczasem sprzątała izdebkę na niedzielę, a mały Włodzik majstrował coś zawzięcie w dziurawym koszyku.

Na dworze była noc. Wiatr od czasu do czasu łomotał nagimi już konarami starej jabłoni, rosnącej tuż przed oknami, to znów lekkim podmuchem muskał dzwoniące szyby, a potem wzmaczał się, potężniał, rozwijał swe świszczące skrzydłiska nad ciemnymi lasami i wyjąc, pędził w mroczną dal.

Marynka zamyśliła się. — Ktoś puka? — Nie, to wiatr szybami dzwoni. Zbliżyła się do okna — cicho, wiatr tylko wyje —



Zbliżyła się do okna.

noc. Po chwili jednak pukanie powtórzyło się. Ktoś idzie — przemknęło się jej przez głowę.

— Janek, ktoś puka! — Puścić?

— Zaczekaj, ja sam zobaczę — odpowiedział.

Ciężko mu było się ruszyć. Spracowane mięśnie odmawiały posłuszeństwa, lecz kiedy stukanie się powtórzyło, i to tak jakoś nieśmiało, Janek zerwał się, jak gdyby nie zaznał zmęczenia. Może to jakiś starowina zgrzybiały prosi o litość i przytułek — pomyślał.

— Kto tam? — zawołał, otwierając szeroko drzwi. Ciemność... noc... nikt nie odpowiada.

— Nikogo niema? — Czyżby się to Marynka przesłyszała? — lecz nie... coś się poruszyło, coś stuknęło w ciemności. Janek wzdrygnął się, bo do jego kolan zwała się kupa poszarpanych łachmanów.

— Litości... — odezwał się nieśmiało i takim błagalnym głosem przybyły, że aż Jankowi serce się poruszyło. Nie znosił cudzej nędzy, bo sam jej kiedyś wiele doświadczył. Podniósł więc szybkim ruchem starowinę i wprowadził go do mieszkania.

— Skąd Bóg prowadzi? — zapytał przybysza.

— Skąd? — pytacie, dobry gospodarzu, zapytajcie dokąd? Ot tak, od domu do domu, od ludzi do ludzi, i tak ciągle. Czasem ktoś się zlituje, przygarnie żebraka; bywa też czasem, że za próg mnie wypchną na deszcz i słońce, nieraz i psami poszczują, ale za wszystko Bogu dziękuję, bo są i dobrzy ludzie, i ci nie dadzą mi zginąć z głodu.

Mały Włodzik też zainteresował się gościem. Podobały mu się jego długie siwe włosy, mleczna broda, a nawet i ta laska poszczerbiona i torba wyrzeźbiona różnego rodzaju i koloru łatami. Te poszarpane łachmany w jego niebieskich oczkach nabrały jakiegoś niezwykłego uroku, a jego młodziutka fantazja obdarzyła je jakąś dziwną i niezwykłą, czarodziejską po prostu wielkością.

Jakaś siła hipnotyzująca przykuwała całą uwagę i ciekawość chłopca nierozzerwalnymi ogniwami do tego człowieka. To się przybliżał drobnymi krokami, to znów się cofał, bo jakiś lęk go ogarniał. Podchodził to z tej, to z owej strony, lecz ciągle bez skutku. Aż nareszcie ciekawość przemogła i Włodzik z paluszkami w buzi wyszeptał: „dziadek caca“.

Uśmiechnął się dobrotliwie starowina i wyciągnął rękę do dziecka. Chłopak bał się jeszcze, stał nieruchomy, po chwili jednak przystąpił do staruszka i dotknął ostrożnie paluszkami jego rękaw. Takie było ich poznanie i początek przyjaźni, na dowód której Włodzik dostał obrazek. Ale go nie zniszczył, jak to wiele dzieci czyni, lecz oddał go matce, by zawinęła w papier i schowała do szuflady, jedyne skarbcza w ich domu.

Długo bawił się jeszcze Włodzik ze swym zgrzybiałym przyjacielem, aż go u jego stóp sen zmógł na dobre. Późno już było,

gdy gospodarze pokładli się na spoczynek, a gość, gdzieś w ciemnym kącie w cichości i pokorze ducha, długo jeszcze przesuwiał wytarte paciorki różańca, polecając dobrych ludzi opiece Bożej.

Po północy już było. Po niebie przewalały się od czasu do czasu czarne chmurzyska, a świat zalewała powódź ciemności. Janek po ciężkiej pracy spał jak zabity. Chrapnął sobie i dzia-
dek w kąciku, bo przez cały dzień nachodził się jak nigdy.

Zdawałoby się, że cały świat, gdzie tylko sięga czarna dłoń nocy, marzy w objęciach snu słodkiego — a jednak tak było tylko pozornie.

Koło Jankowej zagrody cisza — noc rozciągnęła w około swój czarny namiot; wiatr ustał, ale mimo to w pobliżu zagrody daje się słyszeć jakieś delikatne stąpanie; tu coś stuknęło nieznacznie, tam gdzieś sucha gałązka prysnęła, to znowu jakiś cień tajemniczy, ledwie dostrzegalny na białem tle ściany, przesunął się koło okien. Jednak ani Janek ani Marynka nic nie słyszeli, i nie widzieli też, że tu pod osłoną ciemnej nocy działo się coś tajemniczego, coś nadzwyczajnego.

Znowu poruszył się jakiś zamazany cień i rozpląnął się w mroku, a po chwili odezwał się cichy szept...

— Antek, a czyś widział, gdzie je schowała?

— Do szuflady — odrzekł drugi. Powiadam ci, dwie dwudziestki jak złoto, nowiuteńkie, jeszcze nie używane. Stałem za oknem dość daleko, ale widziałem dokładnie, jak zawinęła je w papier i położyła w szufladzie po prawej stronie.

— Ale sobie użyjemy — dodał po małej przerwie.

— Głupiś jest — odpowiedział pierwszy. Najpierw trzeba mieć w garści, a potem dopiero się cieszyć i używać. No ruszaj! Ale uwaga! Ja tu czekam na wszelki wypadek. Cicho, ostrożnie, to grunt.

Szepty ustały i znowu nastała cisza, niepewna i wyczekująca. Gdzieś noga stuknęła o kamień, to znowu drzwi comostwa skrzypnęły nieznacznie, a przez kuchnię przesunął się zgarbiony i ginący w ciemności jakiś cień i zniknął za drzwiami izdebki. — Znowu cisza... Antek czeka... śpią... słysząc oddechy. Puls zaczął mu bić coraz silniej, ogarnął go jakiś lęk... Wróć się, pomyślał mimowoli, i jeszcze większy strach go ogarnął, że był tak blisko. Zawahał się na mgnienie oka. Nie mógł tak dłużej pozostać...

zdecydował się. Jak błyskawica mignęło światło elektryczne, a drżąca ręka wsunęła się do szuflady. Mam — pomyślał i kurczowo ścisnął papier. — Najgorsze minęło, a teraz w nogi! Wymknął się z izdebki, zakryty całunem nocy i zupełnie już bezpieczny, aż tu nagle przeraźliwy krzyk, i jakieś kościste ręce uczepiły się jego ubrania. Zaskoczony zbieg szarpnął się całą mocą raz i drugi, odepchnął niespodziewanego napastnika i, nie zważając na łoskot, jaki wywołał, rzucił się rozpaczliwie do drzwi, bo w izdebce powstał krzyk. Marynka zaczęła wołać: Złodziej! Złodziej! Ale nim się Janek opamiętał było już po wszystkim.

Drzwi stały otwarte, a starowina trzymał się jedną ręką za bok i trwożliwie spoglądał, dokąd zbieg umknął.

— O Boże! pieniądze! — krzyknęła Marynka.

Teraz dopiero zrozumiał Janek całą sprawę... Trzy tygodnie pracy, święta, radość Marynki i Włodzika w puch się rozsypały. Jednym krokiem stanął przy stole, jakież było jego zdziwienie, gdy Marynka wyciągnęła z papieru dwie dwudziestki.

— Są? — wymówił niedowierzająco. Te same! Cóż to znaczy? Teraz już nic nie rozumiał. Czyżby to sen miał być?

Ale Włodzik, który zwał się z posłania w koszulinie wyjaśnił całą sprawę. Uczępił się matczynej spódnicy i zaczął wołać:

— Bozia caca, mamó daj! daj!

Marynka spoglądnęła znowu do szuflady, by dać dziecku obrazek, który dostał wczoraj od dziadka, ale go nie było — gdzieś zniknął.

— A! to tak się stało? — krzyknęła. Pomylił się! — Myślał, że tam były pieniądze.

I teraz czworo ócz zwróciło się do kuchni, gdzie stał przestraszony dziadek, trzymając się ciągle jeszcze za bok. Radość nastąpiła prawdziwa, gdy staruszek dowiedział się o wszystkim, zapomniał nawet o swoim boku i cieszył się jak dziecko. Po chwili jednak rzekł poważnie:

— To nie ja, ale Ten, co tam w górze mieszka, za wasze dobre serca, za to, żeście nie żałowali biedakowi kąta ciepłego i łyżki stawy, oszczędził wam zmartwienia. Jemu podziękujcie!

Antek i jego towarzysz Kuba też się cieszyli i jak szaraki mknęli w stronę lasu.

— Udało się — wyszeptał zasapany Kuba, kiedy spoczęli. Ale nie rozumiem zupełnie dlaczego taka awantura powstała, jakieś uciekał?

— Ja też nie rozumiem — odparł zmienionym głosem Antek. Jakaś koścista ręka chwyciła mnie w progu tak silnie, że się ledwie z trudem wyrwałem, ugodziwszy to jakieś kościste straszdyło pod żebro.

— A może to był jaki duch niedobry? — zagadnął Kuba — boć powiadają, że Janek ma z nimi konszachty i dlatego mu się



...ujrzał w ręce obrazek.

tak powodzi, jak jakiemu urzędnikowi. Pracuje — to prawda, ale inni też pracują, a mimo to biedusia ciągle im w oczy zagląda.

— E! co tam takie głupstwa pleciesz — ofuknął go Antek, chociaż sam skłaniał się do takiego wytłumaczenia wypadku, gdyż jeszcze do tej chwili czuł trwogę, jaka go wtedy ogarnęła.

— Nie złość się — odezwał się dobrotliwie Kuba, ale dawaj połowę, bo jak spółka, to spółka.

— Ja się jeszcze czegoś boję — odparł Antek.

— Dawaj! Dawaj! — przynaglał Kuba. Tu las na około, nikt nie widzi, czego się boisz?

Błysło światelko, drgnęły cienie drzew, a czworo ócz spojrzało na białym papierze. Antek rozwinął papier i nagle spojrzeli obaj na siebie szklistym wzrokiem. Zdumienie zamknęło im mowę. Antek bowiem, odrzuciwszy biały papier, ujrzał w ręce obrazek. Stał przerażony, naraz zaklął siarczyście...

— To chyba diabelska sprawa, nic więcej. — Przeklęty czarodziej z tego Janka! — krzyknął, rzucając zmięty obrazek w zarośla. Ostatni raz dałem się namówić, ostatni raz — powtórzył dobitnie i wolnym krokiem poszedł w las. Gdy się ogładnął, Kuby już nie było, a daleko na wschodzie świeciła zorza.

Ł. J.

ZBRODNIA - i KARA.

Legenda litewska z XVIII wieku.

Długo nieraz zbrodnie uchodzą bezkarnie, nawet triumfują, urągają cnocie, szydzą z niej lub ją prześladują. Zdawaćby się mogło niejednemu, że niema sprawiedliwości, ponieważ temu lub owemu zbrodniarzowi nietylko wszystko uchodzi bezkarnie, ale kroczy on przez życie z podniesioną dumnie głową, świat się mu kłania, obsypuje honorami, pali kadzidła na cześć jego. Ale to wszystko do czasu. Bóg cierpliwy, bo ma całą wieczność do karania. Nikt nie uciecze przed karzącą jego prawicą. I kiedy grzesznik żyje w największej dufności, pomsta Boża uderza w niego. Oto dowód, jeden z tysięcy:

I.

Nadzwyczajna radość zapanowała w miadziolskim dworku p. Koszczyca. Po wieloletnich oczekiwaniach, narodził się wreszcie syn upragniony, dla uproszenia którego p. Koszczyca właściciel

Miadziołu i wszystkich okolicznych włości i olbrzymich jezior Narocz, Miasra i Miadziolskiego, zbudował dla OO. Karmelitów Bosych przepiękny kościół i klasztor.

Kiedy syn przyszedł na świat, ojciec z wielkiej radości odchodził prawie od zmysłów. Kazał strzelać z armat na cztery strony, aby oznajmić światu całemu o szczęściu, jakie go spotkało. OO. Karmelitów obdarzył wioską, wszystkim poddanym odpuścił zaległości, sługom wyliczył od razu całoroczną zapłatę, nawet do zwierząt rozciągała się jego łaska, gdyż koniom stajennym przez cały miesiąc rozkazał dawać podwójną miarę obroku.

W kilka tygodni odbyły się chrzciny! Niepodobna opisać wielkich uroczystości, jakie z tej okazji odbyły się na dworze miadziolskim p. Koszczyca. Dość powiedzieć, że oprócz krewnych, powinowatych, przyjaciół bliskich, w uroczystości tej brało udział trzech wojewodów, dwóch biskupów, sam nawet król był reprezentowany przez specjalnego wysłannika. Czterdzieści par trzymało panicza do chrztu św., a jakby miało kiedyś królować to dziecko, dano mu dwa imiona: Władysław-August.

Ponieważ matka dziecięcia zapadała na zdrowiu, dano mu mamkę, szlachciankę zubożałą. Ale mamka potrzebną była tylko dla dania piersi, bo sam ojciec spowiadał, kołysał, kąpał swojego synka; czuwał nad nim dzień i noc, pilnował jak żrenicy oka. Przyznać nawet potrzeba, że odtąd złagodniał znacznie, stał się dostępniejszym dla ludzi, lepszym dla żony. Tylko córki nie na tej zmianie nie zyskały, gdyż zaraz po chrzcinach, wysłał wszystkie sześć do klasztoru P. P. Benedyktynek nieświeckich, gdzie krewna jego była naówczas ksienią, z poleceniem, aby je sposobić na mniszki.

Dziecko chowało się zdrowo i wesoło. Już poznawał ojca i wyciągał do niego rączkę; już mu się kilka ząbków wykłuło, już wymawiał „tato“, już nawet próbował chodzić o własnej sile. Serce ojcowskie radowało się na widok zdrowego i silnego chłopca, a duma roiła się dla niego w przyszłości, Bóg wie jakie zaszczyty, nawet koronę królewską.

Ale nie ziemską to koronę przeznaczał P. Bóg owemu dziecku.

Razu jednego dano znać Koszczycowi, że we wsi, o parę mil odległej od dworu, chłopstwo nie chciało słuchać ekonoma, który

bez żadnego rachunku pędził je na pańszczyznę. Na takie wykroczenia najzawziętym był Koszczyc. Przywykły do ślepego posłuszeństwa, nie mógł znieść myśli, aby chłop śmiał okazać najmniejszy opór nie tylko jemu samemu, lecz i postanowionemu przez niego rządcy. Poleciwszy więc najsurowiej matce, aby na chwilę nie opuszczała dziecka, kazał podać powóz, wziął parę pistoletów, fuzję nabitą lotkami, nahał i pojechał do owej wsi.

Na sam widok groźnego pana, struchleli chłopci i karność wróciła. Mniej winnych ukarał batogami, przewodców zaś kazał zakuć w łańcuchy, dyby i kłódki i prowadzić do dworu, gdzie miał ich sam osądzić. Przywróciwszy w ten sposób porządek, już pod wieczór wybrał się z powrotem do domu, aby, jak zwyczajnie, przepędzić noc przy jedynaku.

Wypadało mu przejeżdżać przez własną puszcze, w której wyrąb był zakazany chłopom, aby rąbiąc drzewo nie płoszyli zwierzę. Ledwo tam wjechał, posłyszał uderzenia siekierą. Chcąc ukarać zuchwalca, który śmiał przestąpić jego zakaz, wysiadł z powozu, wziął fuzję, kazał furmanowi czekać na siebie i poszedł w stronę, z której dawały się słyszeć uderzenia siekierą; a było do tego miejsca staj z kilkoro. Łamiąc się przez chrusty i zawały, zbliżył się nareszcie tak, iż spostrzegł chłopka rąbiącego gałęzie, które składał na nieco opodał stojący wóz zaprzężony. Ale i chłop go spostrzegł, a wiedząc, że z tak groźnym panem żartów niema, wyrzekł się wozu i konia i zaczął biedak uciekać, co sił starczyło. — Stój! — czekaj! — wołał pan, ale rozkaz ten, zamiast zatrzymać, jeszcze sił uciekającemu dodawał. Wówczas Koszczyc porwał fuzję, przymierzył i strzelił w uciekającego. Zranił go też okrutnie: ale chłopiek uciekał ciągle, dobywając ostatnich sił, kiedy zaś uczuł, że siły go opuszczają, wlaź w znaną sobie oddawna wypróchniałą lipę, która go skryła od poszukiwań mordercy.

Tymczasem niebo pokryło się chmurami, mrok zaczął zapadać, błyskawice przebiegały po niebie i grom zwiastujący burzę, dawał się słyszeć w oddali. Koszczyc złorzecząc i przeklinając, ledwo trafił do powozu i kazał jak najspieszniej pędzić do dworu. Ale niepodobieństwo było prędko jechać, bo droga była zła; przytym zrobiło się tak ciemno od chmur, że choć oko wykol. W krótko lunął deszcz nawalny, grom zaczął bić po gromie, a tylko bły-



...i poszedł w stronę, z której zdawały się słyszeć uderzenia siekiery...

skawice chwilowo rozświecały ciemną puszcę. Jechali tak kilka godzin. Już i północ minęła; powinni być dawno w domu. Wówczas dopiero spostrzegli, że zbłąkali się w puszczy, bo zamiast wziąć się na prawo, pojechali prosto w głąb lasu.

Koszczyk rozzłoszczony porwał się na furmana, ale w tej chwili grom uderzył tak blisko, że aż konie przypadły do ziemi

i wicher przeleciał nad puszczą, złamał starą sosnę, nieopodal stojącą i zawalił nią drogę.

Koszczyć wspomniał wtedy na syna, przeraził się i zawołał: — Jezus! Maria! Józef! nieszczęście spotkało mojego dziedzica! i Koszczyć, nieprzytomny prawie, porwał pistolety, wyskoczył z powozu i popędził w głąb lasu.

Wkrótce zaczęło dzień. rozwidniło się w lesie, furman objechał jako tako wywróconą sosnę i ruszył w stronę, dokąd się pan pieszo udał.

II.

Po odjeździe pana, a pierwszy to raz od urodzenia syna był wyjechał, w koszczycowym dworze stało się jakoś swobodniej; pani przyszła do pokoju jedynaka, a mamka, której zakazano wychodzić z pałacu, wymknęła się cichaczem na folwark, dla zobaczenia własnego dziecka. Rychło jednak wróciła nazad, lękając się, aby pan nie nadjechał. Pani jakoś czulej owego dnia ścisnęła swojego synka i rzewnie płakała, myśląc o losie córek, które bez powołania skazane zostały na życie klasztorne. Wkrótce dziecko zasnęło, złożono je do kolebki, a mamka zaczęła kołysać i przyspiewywać wychowańcowi. Długo chłopczyk spał smacznie, ale ku wieczorowi, właśnie, gdy pan sądził i karał srodze nieposłusznych chłopów, sen dziecka zrobił się niespokojny, zaczęło się przewracać w kolebce, wołać przez sen: — Tato! tato! — i o zmroku, w chwili, gdy ojciec, wracający przez puszcę do domu strzelił do owego chłopka, rąbiącego drzewo, dziecko nagle przebudziło się z krzykiem. Rączki i główka dzieciny były gorące, oddech przyspieszony, widocznie dostało gorączki. Mamka widząc, że dziecko chore, przełękłona przygotowała rumianek, ale dziecko pić nie chciało, tylko płakało ciągle tak, iż w żaden sposób utulić go nie było można. Potem zaczęła się burza, błyskawice, grzmoty, a dziecko jeszcze bardziej było niespokojne. Nareszcie około północy zdrzemnęło się, a i mamkę sen zmorzył; położyła się więc sama do łóżka, dziecko wzięła do siebie i zasnęła snem twardym ... i we śnie przygniotła je własnym ciężarem i zadusiła.

Mamka obudziwszy się rano i zobaczywszy, co się stało, bez namysłu wybiegła z pokoju, pobiegła do pobliskiego jeziora i rzuciła się w wodę. Rybacy, którzy właśnie byli zajęci na jeziorze,

sposzregli tonacą, podplynęli prędko, wyciągnęli na brzeg i zanieśli do dworu zemdloną, ale jeszcze żywą.

Kiedy zebrani dworscy ludzie krzatali się, ratując topielicę, Koszycz sam, piechotą, wszedł na dziedziniec. Spozregł zbiegowisko, a wśród niego kobietę, tarzaną na beczce, aby wyrzuciła z siebie wodę, której się opila w jeziorze, zapytał przechodząc mimo:

— Co to jest?

— Mamka się utopila — odpowiedziano z gromady.

— Chryste Panie! — krzyknął — nieszczęście z dzieckiem!

I skoczył do pałacu. Przebiegłszy kilka pokoiów, wszedł do dziecinnej izby, rzucił się do kołyski i oderwawszy gwałtownie firanki; spozregł na białej pościółce bielsze jeszcze a martwe ciało swojego synka. Porwał go zrazu na ręce, a nie wierząc sam swoim oczom, podniósł do okna, a widząc, że już wszystko skończone i żadnego niema ratunku, rzucił dziecko napowrót do kołyski, a sam wybiegł na dziedziniec. Tymczasem mamkę otrzeźwiono.

— Coś zrobiła z moim dzieckiem? — krzyknął głosem tak strasznym, że aż wszyscy zadrżeli.

Biedna kobieta rzuciła mu się do nóg i łkając mówiła:

— Przyspałam go mimowoli, panie! Przebac! albo pozwól mi umrzeć!

— Przyspałaś ostatniego Koszyczca, potomka królów duńskich i myślisz, że jest na świecie całym człowiek, któryby tobie przebaczył taką zbrodnię?!

Mamka, słysząc te słowa i spojrzawszy na groźnego pana, na nowo zemdląła. Istotnie strach było patrzeć na tę twarz, palającą zemstą i wściekłością, na te oczy, ciskające iskry. Wszyscy też pouciekali, śmielsi skryli się za węgły domostw, trwożliwsi rzucili się w konopie, inni pobiegli schować się aż do klasztoru OO. Karmelitów.

— Hola! ludzie! — wołał rozżarty pan. — Otrzeźwić tę nędznicę i pilnować, jak żrenicy oka! Życiem swoim za nią mi odpowiecie! Ale ludzi nie było. Na głos ten podbiegli tylko dwaj hultaje, jakies Bóg wie skąd przybłędy, gotowi na rozkaz pana spełnić wszelką zbrodnię. Pod ich więc dozór oddał nieszczęśliwą, a



...tak iż tylko jej głowa wystawała nad powierzchnię.

sam, złapawszy furmana wracającego z końmi i jakiegoś włóczęgę, kazał im kopać dół głęboki, niby studnię, nad samym jeziorem. Wykopano prędko dół, ale gdy pan kazał wstawić weń żywą mamkę i zasypać ziemią, to i furman i ów włóczęga, pomimo grózb i rozkazów, obaj uciekli: zostali tylko dwa łotry, co to gotowi byli na wszystko. Ci więc wstawili nieszczęśliwą kobietę nagą w dół i zasypali ziemią, tak, iż tylko jej głowa wystawała nad powierzchnią.

Wielkie było przerażenie w całym dworze, który w momencie opustoszał. Pani, gdy się dowiedziała o śmierci dziecka i o męczeństwie mamki, zaśląbla tak mocno, że musiano ją położyć do łóżka, z którego wstać o własnych siłach nie mogła.

Gdy wieść o tym wszystkim doszła do klasztoru, przeor, z krzyżem w ręku, w asystencji dwóch zakonników, udał się do dworu, pod pozorem pogrzebania dziecka, pocieszenia rodziców, a rzeczywiście, aby wyprosić przebaczenie dla mamki. Ale pan kazał zatarasować drzwi pałacu i postawił owych dwóch zbirów na warcie z rozkazem, aby nikogo nie dopuszczali do niego. Księża więc odeszli z niczym. Koszczyc zaś, z muszkitem w ręku, zasiadł w pałacu przy oknie, dla pilnowania ofiary swojej zemsty, grożąc, że zastrzeli każdego, ktoby się zbliżyć do niej ośmielił.

A było to w najpiękniejszy poranek wiosenny, jaki zwykle następuje po burzliwej nocy. Słońce jasno świeciło na niebie, promienie jego odbijało w tysiącnych kropłach, pozostałych po dżdżu, pokrywających liście drzew i roślin; jezioro było tak spokojne, że wydawało się jedną wielką taflą zwierciadlaną, tylko jaskółki, unoszące się nad nim, muskały skrzydełkami jego powierzchnię; skowronki niby zawieszone w powietrzu, nuciły ogromnym chórem; lecz śpiew ich głużyły jęki męczennicy, przerażały nie tylko ludzi, ale i zwierzęta.

Biedna kobieta, żywa jeszcze, choć pogrzebana, jęczała z początku boleśnie a tak głośno, że w okolicznych nawet wsiach i za jeziorem słyhać ją było. Jednakże w końcu zabrakło jej głosu, a nawet jęku; umilkła, modląc się tylko i w myśli polecając duszę Bogu. Wyszli też księża z kościoła, niosąc Przenajświętszy Sakrament, ale wyszedł Koszczyc, zawsze uzbrojony z pałacu. Myśleli ludzie, że serce jego złagodniało, że noc może przyniosła mu dobrą radę, że zlituje się nad nieszczęśliwą, ale on podszedł do niej i dodając zniewagę do męczeństwa, uderzył ją w policzek!

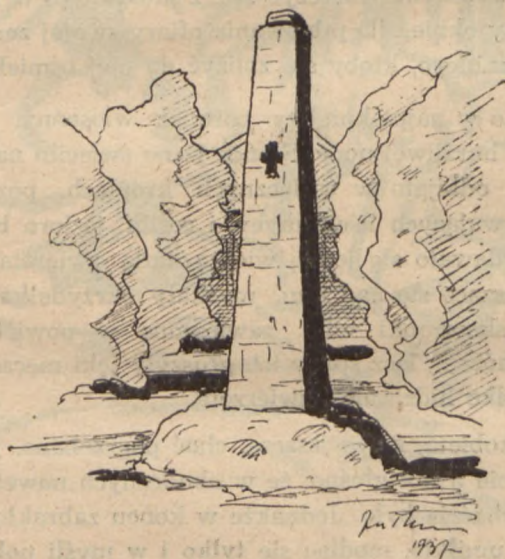
Był to cios ostatni! W tejże chwili skonała męczennica, głowa jej opadła, tylko oczy z otwartymi powiekami patrzyły jakoś okropnie pośmiertnym wzrokiem.

Księża, widząc, że po wszystkim, wrócili z Przenajśw. Sakramentem do kościoła i zaczęli odmawiać pacierze za umarłą.

III.

Koszczyc po dokonaniu zbrodni, kazał natychmiast zaprzęgać powozy, zabrał co było kosztowniejszego, włożono chorą panią do kolasy i pojechał w świat, nikomu żadnych rozkazów nie dawszy.

Skoro ludzie zobaczyli, że już i pył po nim zniknął, rzucili się wszyscy hurmem odkopać mamkę, sądząc, że jeszcze ratunek zdoła przywrócić do życia, ale już było zapóźno: dusza męczennicy uleciała do nieba i w owej chwili pewno błagała Stwórcę o sprawiedliwość dla zabójcy lub może o przebaczenie.



Wymurowany słup na pamiątkę, niby pomnik grobowy męczennicy.

Widząc, że już tu pomoc ludzka na nic przydać się nie może, gromada zrobiła prędko trumnę, złożono w nią po chrześcijańsku nieboszczkę, przyszedł księża, poświęcił mogiłę, pomodlili się za duszę i pochowali w tym samym miejscu, gdzie wprzód była żywcem zakopana. W kilka dni potem wymurowano słup na pamiątkę, niby pomnik grobowy dla męczennicy. Pomnik ten dopiero podczas Wielkiej Wojny został przez żołnierzy rozebrany.

Pochowawszy mamkę, poszli wszyscy całą gromadą do dworu, bo nikt nie śmiał wejść sam jeden. Pałac był pusty; przeszli

kilkanaście pokoiów i żywej duszy nie spostrzegli, tylko wiele kosztownych sprzętów, których nikt z gromady nie tylko sobie przywłaszczyć, ale nawet dotknąć nie chciał i nie śmiał. Dopiero w pokoju dziecinnym ujrzeli w herbowej kołysce ciało dziecka, a rozpatrując wszystkie kąty, spostrzegli za piecem półmartwą ze strachu i gorączki pomocnicę mamki, Hanulę. Uspokojono ją trochę i zaniesiono do chaty, dziecku zaś zrobiono prostą z sosnowych desek trumienkę i pochowano je uczciwie w sklepach kościelnych. Pałac, w przekonaniu, że po takim czynie Koszczyc nigdy już do niego nie powróci, ze wszystkim, co w nim było, zamknięto na gluchą, klucze wrzucono do jeziora i okna zabito deskami.

IV.

Upłynęło lat dziesięć, gdy jednego poranku, właśnie w rocznicę zakopania mamki, rybacy łowiący ryby na jeziorze, spostrzegli przy owym słupie człowieka. Ciekawi, ktoby to był tak odważny, co wszedł na dziedziniec pałacowy, gdyż każdy omijał go z daleka, podpłynęli jeszcze bliżej, ale jakie było ich przerażenie, kiedy w owym klęczącym poznali swego pana. Istotnie był to sam Koszczyc, tylko już nie ten, co przed dziesięcioma laty. Czas, a więcej jeszcze zgryzoty sumienia, zmieniły go do niepoznania; wyniosła niegdyś postać zgarbiła się i pochyliła ku ziemi, kruczy włos zbiegał zupełnie, wzrok w gniewie bywało, iskry ciskające, zrobił się jakiś obłąkany i przyćmiony.

Przerażeni widokiem pana, rybacy odpłynęli prędko i dali znać o jego powrocie do wsi. We wsi także wszyscy przełękli się, sądząc, że zechce znowu po dawnemu panować. Ale nie do panowania mu było: przybywszy Bóg wie skąd i jak, zaczął pokutować i w tym właśnie miejscu, gdzie najwięcej nabroił.

Nikogo z ludzi nie zaczepił i do niego też nikt się nie zbliżał. Zamieszkał w dawnym swym dworze, czego rozumie się nikt mu nie wzbraniał i sam sobie wystarczał. Bywało raz w tydzień albo i rzadziej, pójdzie do miasteczka, kupi u żydów chleba, codziennie pomodliwszy się wprzód na grobie ofiary swojej, zaczerpnie dzbanem wody z jeziora i na tym przestaje; a nigdy nie gotował sobie strawy, ani mieszkania nie ogrzewał, bo nigdy, nawet zi-

ma, nie widziano dymu z pałacowego komina, ani światła z okna; a jedno tylko okno odbiło, właśnie to od dziecinnego pokoju, przy którym przebył na czatach ostatnią noc; wszystkie inne okna, jak były zabite, tak i zostały.

Razu jednego komisarz, który rządził majątkiem przez czas nieobecności pańskiej, wypowiedawszy się wprzód i przyjąwszy Komunię św., odważył się pójść do pałacu, dźwigając dwa wielkie wory samego złota; były to pieniądze zebrane przez ostatnie lata z dochodów majątku. Przeszedłszy kilka pokoi pustych i salę jadalną, w której portrety przodków Koszczyca były zasłonięte czarnym pokryciem, wszedł nareszcie do pokoju dziecinnego. Znalazł w nim wszystko, jak dawniej, tylko z nad kołyski dziecinną zdjęto koronę i herby poodrywano, a sam pan klęczał przy oknie i modlił się gorąco. Długo czekał końca modlitwy; nareszcie pan powstał, a komisarz nisko się ukloniwszy, powitał go słowy:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen — odpowiedział Koszczyk. — Dziękuję wam, żeście przyszli odwiedzić biednego grzesznika. A czego chcecie ode mnie? Co ja dla was mogę uczynić?

— Przyszedłem, jaśnie panie, zdać sprawę z zarządu dobrem pańskim; oto kupa rachunków, w której wszystko wiernie zapisano, a oto pieniądze zebrane.

— Pieniądze! A na co mi one potrzebne? Dajcie mi spokój sumienia, jeśli dać go możecie.

— To tylko Bóg miłosierny dać może — odpowiedział komisarz. — Ale z tym co mam czynić? — dodał wskazując na wory złota.

— A dziecko Karolowej, czy żyje?

— Żyje.

— Oddajcie to biednej sierocie. Niech choć w części tym wynagrodzę morderstwo matki. Na przyszłość zaś, co zbierzecie, oddawajcie na chwałę Boską i dzielcie między nieszczęśliwych i biedniejszych włościan, a nie zapominajcie i o tym, któregoś w lesie postrzelili.

— Może jaśnie pan przeznaczy co dla córek? — ośmielił się zapytać komisarz.

— A co się z nimi dzieje?

-- Po odjeździe państwa, krewni wzięli je z klasztoru i już wszystkie wydali uczciwie zamaż.

— Czy za szlachtę przynajmniej? — zapytał prędko, ale w tymże momencie, bijąc się w piersi, dodał: — Opuść mi Panie, tę resztę niepocziwej szlacheckiej dumy.

— Za zacnych obywateli — odpowiedział komisarz.

— Niech im P. Bóg pomaga i tym, którzy się ich losem zajęli. Och, gdybym był godzien przynajmniej je pobłogosławić, ale lękam się, aby to nie przyniosło im nieszczęścia. Po mojej śmierci niech się podziela majątkami i używają ich na chwałę Boską, a na pożytek ludzi i siebie. Poproś także przeora, aby mię odwiedził, bo mnie samemu nie wolno wchodzić do miejsc poświęconych chwale Bożej.

Na tym skończyła się rozmowa. Koszczyc ukląkł i zaczął się modlić a komisarz po cichu wyniósł się z pałacu.

Kiedy opowiedział przed gromadą rozmowę swoją z panem, kiedy dowiedziano się o jego pokucie, skrusze i pokorze, przestano się go bać w okolicy, a serca ludzkie, w których zawsze jest, choć na dzień, cząstka miłosierdzia Boskiego, przychyliły się ku niemu. Już nie potrzebował więcej kupować chleba u żydów, bo właśnie chłopci składali mu jałmużnę w naturze. Z początku znosili, kto co mógł, ten chleb, ów ciepłą strawę, inni nareszcie, bogatsi, prosięta lub kurzy pieczone, kładli przy wejściu do pałacu; ale spostrzegli prędko, że chleb tylko przyjmował, mięsa zaś i ciepłej strawy nie tykał; więc gdy każdy chciał mieć udział w karmieniu swojego pana, urządzili porządek między sobą i każda chata z kolei przysyłała codzień bułkę świeżego chleba do pałacu.

Ksiądz zaś przeor często chodził do pałacu, spowiadał pokutnika ale przypuścić do Stołu Pańskiego nie śmiał.

Tak pokutował lat kilka: ludzie przestali go unikać; spotkawszy pozdrawiali, na co odpowiadał im zawsze łagodnie i uprzejmie; dzieci nawet wioskowe, choć nie pojedynczo, to gromadnie w dzień świąteczny chodziły bawić się na dziedziniec pałacowy, a latem otrząsać jabłka i gruszki do dworskiego sadu, w czym nikt im nie przeszkadzał. Koszczyc już prawie pogodził się z ludźmi, ale z Bogiem snąć jeszcze zgody nie było.

Bóg, a jak niektórzy utrzymywali, on sam z woli Bożej, przeznaczył sobie inną, daleko sroższą i okropniejszą pokutę za życia.

Jednego razu, na wiosnę, właśnie w dzień, w który jako w rocznicę śmierci dziecka i męczeństwa mamki, odprawiało się za jej duszę żałobne nabożeństwo w kościele, zauważono, że chleb leżał nietknięty na ganku pałacowym. Wnieśli z tego ludzie, że pokutnik albo zachorował albo poszedł pokutować gdzie indziej. Dano znać do klasztoru. Przeor, wzięwszy ze sobą Przenajśw. Sakrament, służkę kościelnego z dzwonkiem i dwóch zakonników udał się do pałacu; za nimi poszli komisarz i kilku starszych z gromady. Wszedłszy do owego dzieciennego niegdyś pokoju, ujrzeli wszyscy krzyżem leżącego pokutnika. Sądząc, że się modli, stali czas jakiś w milczeniu; ale gdy żadnego znaku życia nie dawał, zbliżyli się, podjęli go i spostrzegli, że nie żył. Urządzono więc na prędce w wielkiej sali portretowej katafalk z tapczana pokrytego całunem, złożono na nim umarłego, przyniesiono lichtarze i świece kościelne i obstawiono go nimi; księża zostali modlić się przy umarłym, a ludzie poszli robić trumnę. Przed wieczorem jeszcze dół był wykopany i prosta, z dębowych desek trumna gotowa; włożoną w nią, jak był, umarłego, zesła się gromada i już w nocy z pochodniami, zaniecono go na cmentarz. Spuszczono do dołu trumnę i każdy z obecnych rzucił garstkę prochu na wieczny odpoczynek umarłemu. Zasypawszy grób, pomodlili się i rozeszli wszyscy, aby nazajutrz zebrać się znowu na żałobne nabożeństwo za duszę nieboszczyka pana swojego.

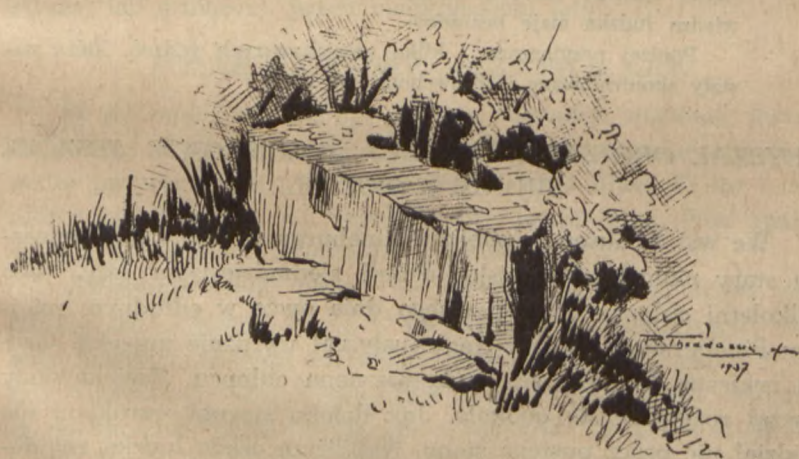
W nocy wartownicy dworscy i klasztorni słyszeli jakieś stłumione jęki, z cmentarza wychodzące; ale sądząc, że to krzyk sowy albo pokutującej duszyczki, może nawet zmarłego pana, zmówili tylko „Anioł Pański“ za dusze w czyśćcu będące, znikąd ratunku nie mające. Jęki nad ranem ucichły; wartownicy wróciwszy do domu, opowiedzieli swoim o owych jękach, a jak zesłali się na egzekwie, już wszyscy o tym wiedzieli. Dowiedzieli się i Karmelici. Przerażeni myślą, że mogli przez nieostrożność żywego zagrzebać człowieka, kazali prędko odkopać grób i wyjąć trumnę. Dziwne są wyroki Boskie! Kiedy odbili wierzch trumny, przerażający widok przedstawił się ich oczom! Trup był przewrócony, zsiniały od gwałtownych konwulsji, sam z bólu i rozpaczyny pokasał własną rękę! Jedni tłumaczyli to przez prosty

przypadek, drudzy widzieli w tym zrządzenie Opatrzności, że w letargu został pochowany, a byli i tacy, którzy utrzymywali, że Koszczyc sam sobie tak srogą karę przeznaczył i dlatego, aby być żywcem zakopanym, udawał tylko umarłego. Bóg święty wie, kto miał słusność, w każdym razie został pogrzebany w letargu i umarł żywcem pogrzebany, jak mamka, którą żywcem kazał pogrzebać.

Tak dla wszystkich wypadek ten stał się przykładem, do czego może doprowadzić pycha i żądza władzy.

Szczęśliwy grzesznik, gdy w tym jeszcze życiu Bóg karać go pocznie. Znak to, że chce go przywieźć do opamiętania, do pokuty. Nieszczęsny jednak, gdy wszystko idzie mu po myśli. Zguba jego pewna. Pomsta Boża uderzy w niego, kiedy się najmniej spodziewa.

W „Biesiadzie Literackiej“ 1913 r. napisał Julian Horain według opowiadania starego rybaka. Streścił O. Ireneusz.



O widzeniach.

Do niedawna nauka nie wierzyła w widzenia i wszelkie, nawet wiarygodnie potwierdzone relacje o widzeniach, które nastąpiły co do joty się sprawdziły, odrzucała jako polegające na złudzeniu lub na sugestii. Od pewnego czasu coraz więcej uczonych nie neguje już tego rodzaju zjawisk, gdy udało się w wielu wypadkach sprawdzić prawdziwość widzenia ponad wszelką wątpliwość. Jest to możliwe, gdy człowiek, który miał widzenie, opíše je szczegółowo, zanim się sprawdzi. Tutaj jednak badania naukowe napotykały na duże trudności. Mianowicie ludzie, którzy miewają widzenia, kryją się z tym swoim tak zwanym „szóstym zmysłem“, uważając to za dopust Boży i za swoje osobiste nieszczęście, z którym nie chcą zdradzać się przed otoczeniem, tym bardziej, że przeważnie zdolność miewania widzeń jest dziedziczna. Ojciec lub matka, miewający widzenia, starają się utrzymać ten swój fatalny dar w największej tajemnicy, aby nie narażać dzieci na podejrzenia, że i one są „niesamowite“.

Mimo to szereg wypadków widzeń zostało szczegółowo zarejestrowanych przez badaczy naukowych — dotychczas jednak nauka nie znalazła żadnego objaśnienia tych zjawisk, noszących charakter zjawisk nadprzyrodzonych, a więc takich, wobec których wiedza ludzka staje bezradna.

Poniżej przytaczamy kilka najciekawszych widzeń, które zostały skontrolowane i sprawdzone.

SŁYCHAŁ ORKIESTRĘ, KTÓREJ CZŁONKOWIE JESZCZE SIĘ NIE NARODZILI.

We wsi Ahausen w pobliżu Lüneburga w Niemczech, mieszka stary nauczyciel wiejski. Przed siedmdziesięciu laty, jako kilkoletni chłopiec, paśł pewnego dnia owce w odludnym miejscu lüneburskiego stepu. Nagle usłyszał wyraźnie muzykę. Grała orkiestra, ale melodia była nieznana chłopcu. Zaciekawiony zaczął rozglądać się dookoła. Jak daleko sięgnął wzrokiem nie widział nic prócz pustego stepu. Najbliższa osada ludzka znajdowała się w odległości kilku kilometrów i żaden dźwięk nie mógłby z tamtąd dojść tak wyraźnie — zresztą żadnej orkiestry nie było w tej osadzie.

Śmiertelnie wystraszony chłopiec uciekł, pozostawiając owce na łasce losu. I nigdy nie mógł zapomnieć tego zdarzenia tajem-

niczego. Ilekroć szedł stepem w tej okolicy, zawsze przypominał sobie tę przygodę i zawsze dźwięczała mu w uszach słyszana wtedy melodia.

Minęło 50 lat. Z chłopca wyrósł mężczyzna w podeszłym wieku, zajmujący od wielu lat stanowisko nauczyciela w swojej rodzinnej wiosce. Na świecie wrzała wojna światowa. W tym miejscu stepu lüneburskiego, gdzie ongiś pasał owce, znajdował się wielki obóz jeńców wojennych. Obok obozu urządzony był mały cmentarz. Stary nauczyciel wiejski często przychodził przyglądać się pracy jeńców.

Pewnego dnia, idąc w stronę obozu, ujrzał pogrzeb wchodzący na mały cmentarzyk wojenny. Po chwili orkiestra zaczęła grać pieśń żałobną. Stary nauczyciel skamieniał ze wzruszenia. Orkiestra grała tę samą melodię, którą słyszał w tym miejscu przed pięćdziesięciu laty. Była to belgijska pieśń żałobna — grzebano bowiem belgijskiego żołnierza, zmarłego w obozie jeńców. Orkiestra składała się również z jeńców belgijskich, z których najstarszy mógł mieć 35 do 40 lat, a więc żadnego z członków tej orkiestry nie było jeszcze na świecie, gdy nauczyciel słyszał ich grających przed pięćdziesięciu laty.

POŻAR, NA KTÓRY CZEKANO 33 LAT.

W tej samej wsi zdarzył się inny wypadek widzenia, jeszcze ciekawszy i jeszcze wymowniejszy. Przed czterema laty wieś padła pastwą pożaru. Na pożar ten czekano przez 33 lat i czyniono wszystko, aby mu zapobiec. Nie zapobieżono. Wieś spaliła się tak, jak widziała to owa dziewczyna.

„Przyjdzie wielki pożar“ — powiedziała Greta przed trzydziestu laty. „Stanie się to w niedzielę przed południem. Cała wieś będzie w kościele na nabożeństwie. Pożar wybuchnie w domu Allermana i strawi wszystkie domy wzdłuż drogi wiejskiej aż po karczmę. Ludzie wybiegną z kościoła, ale przed wyjściem z ogrodzenia kościelnego palić się będą już drzewa i nie będzie można wyjść tamtędy — ludzie będą przechodzić przez parkan na cmentarz i przez cmentarz na drogę wiejską. Do pożaru przyjdzie dużo ludzi w mundurach, których dzisiaj się nie widzi. Niektórzy przyjadą na koniach. Jeden z tych umundurowanych spadnie z konia i pokaleczy się“.

Wiadomość o widzeniu Greta szybko rozniosła się po wsi, ale nie wierzono jej. Gretę, służącą gospodarza Behrensa, uważano za niespełna rozumu. Z ciekawości zapytywano ją jednak, kiedy ten pożar wybuchnie.

„Nie prędko to nastąpi. Widziałam bowiem ten pożar przed południem, a to co pokazuje mi się przed południem, przychodzi dopiero po upływie wielu lat“.

Jednakże określiła bliżej termin pożaru. Powiedziała mianowicie, że nastąpi to równo dziesięć lat od chwili, gdy z domu Behrensa wyjedzie karetą ślubna, zaprzężona w dwa białe konie, kierując się do domu młynarza.

Behrensowa żyje jeszcze. Otóż za jej sprawą miejscowy proboszcz szczegółowo zapisał całe widzenie Greta. Wtedy Behren-sowie nie mieli jeszcze dzieci. Później urodziła im się córka. Pewnego razu Behrens kupił na targu źrebaka ciemnej maści. Z tego źrebaka wyrósł koń biały, co zdarza się bardzo rzadko. Wtedy Behrensowa zaczęła wierzyć w widzenie Greta. Ale wieś jeszcze nie wierzyła. Niebawem w stajni Behrensa znalazł się drugi siwek. Stało się to w wyniku wysoce powikłanego zbiegu okoliczności. Behrens miał jakieś porachunki z handlarzem koni i tytułem przypadającej mu należności zmuszony był przyjąć owego siwka wbrew swojej woli.

W międzyczasie Greta zmarła a córka Behrensów dorosła i zaręczyła się z synem młynarza. Naznaczono dzień ślubu. Cała wieś wierzyła już w prawdziwość przepowiedni Greta. Omal nie doszło do wojny we wsi. Część mieszkańców nalegała bowiem na Behrensa, aby do karety ślubnej nie zakładał swoich siwków, lecz inne jakieś konie. Behrens byłby się może zgodził, ale Behrensowa stawiała opór.

Widzenie Greta musi się sprawdzić — mówiła — i nic nie pomoże zaprzęganie innych koni. Napewno stanie się coś takiego, że w końcu nie będzie innej rady i trzeba będzie założyć do powozu siwki. Lepiej więc nie wyzywać przeznaczenia, aby jakiegos drugiego nieszczęścia nie sprowadzić“.

Behrensowa w żaden sposób nie dała się przekonać. I ostatecznie postawiła na swoim, znalazłszy nieoczekiwane poparcie u księdza i kilku postronnych ludzi, którzy byli zdania, że w widzenia wierzyć nie należy i nie ma żadnego powodu, aby

wypożyczać obce konie. Inni znowu mieszkańcy wsi, wierzący w widzenia, podzielili wiarę Behrensowej, że widzenie musi się sprawdzić i że nie leży w ludzkiej mocy zapobiec temu, co zostało objawione w widzeniu Greta. I stało się, że córka Behrensów pojechała w karecie zaprzężonej w białe konie do domu swego męża.

Przez dziesięć następnych lat wieś starała zabezpieczyć się przed zapowiedzianym pożarem. Wystawiano posterunki straży pożarnej, trzymano w pogotowiu wodę — nic to nie pomogło. Pewnej niedzieli dwoje bawiących się dzieci zaproszyło ogień w domu Allermana. Była susza i silny wiatr. Ludzie byli w kościele. Pożar ogarnął zabudowaną wieś w ciągu kilku chwil. Gdy ludzie wybiegli z kościoła paliły się już drzewa przed bramą w ogrodzeniu kościelnym. Musiano szukać drogi przez cmentarz.

Pożar miał przebieg opisany przez Gretę. Spaliła się cała wieś aż po karczmę. Ocalał tylko jeden dom, dokładnie określony przez Gretę, i w jakiś niewytłumaczony sposób przeskoczony przez pożar. Na alarm ogniowy przyjechała na pomoc straż ogniowa z sąsiedniego miasteczka i przymaszerował ćwiczący w pobliżu oddział S. A. w mundurach, o których Greta powiedziała, że się ich nigdzie nie widzi. Jeden z umundurowanych członków S. A. przyjechał na koniu. Koń spłoszył się i jeździec spadł, kalecząc się dotkliwie.

Widzenie Greta zostało szczegółowo opisane przez proboszcza przed 30 laty — pożarł wybuchł w roku 1933 i na podstawie zapisków proboszcza z przed 30 laty mogła być najdokładniej sprawdzona dokładność widzenia Greta.

OKRĘTY PŁYNĄCE PRZEZ POLA.

Istnieją również autentyczne i sprawdzone zapiski nauczycieli i księży z okolic Kilonii, z których wynika, że kilkanaście lat zanim w ogóle zaczęto mówić o budowie kanału kilońskiego, niektórzy tamtejsi chłopci, znani z tego, że miewali widzenia, widzieli okręty płynące przez łany żyta i kartofli i widzieli je tak dokładnie, że mogli podać, ile miały kominów lub masztów a nawet odczytać nazwiska, wypisane na kadłubie.

Gdzie indziej znowu pewien pastuch widział w lesie szlak kolei żelaznej i jadący pociąg. Miało to miejsce przed sto pięćdziesiąt laty, gdy wynalazca lokomotywy jeszcze się nie urodził.

Nic dziwnego, że nauka wzbrania się uznać widzenia, albo — zmusza przyjąć do wiadomości niewątpliwe fakty, jak ów wypadek widzenia Grety z Ahausen — nawet nie próbuje dać jakiegóż objaśnienia tego zjawiska. Bo jakże wytłumaczyć fakt, że człowiek widzi naraz najdokładniej obraz rzeczy, które zjawiają się za kilkadziesiąt lat? Że widzi obraz życia i osób, których jeszcze nie ma na świecie? Należałoby chyba przyjąć, że przyszłość leży gotowa przed nami, a przed tym wzdryga się człowiek wierząc, że sam tę przyszłość kształtuje.

WIEDZENIE ZBIOROWE.

Pewien adwokat jedzie z żoną powozem do stacji kolejowej. Jest noc zimowa. Niebo jest wprawdzie zasnuwane chmurami, lecz od śniegu jest dość jasno. Nagle konie zwalniają biegu, przechodzą z klusa w powolny stęp. Adwokat zwraca uwagę woźnicy, że należy pośpieszać, bo do odjazdu pociągu pozostało niewiele czasu. Woźnica odwraca się i wskazując biczyskiem na drogę, mówi: przed nami jedzie jakiś pusty karawan i zajmuje drogę — nie wyminiemy go“.

Adwokat i jego żona patrzą na drogę i rzeczywiście widzą o kilkanaście kroków przed sobą jadący w tym samym kierunku karawan, który nie daje drogi. Adwokat zaczyna się niecierpliwić, wymyśla na woźnicę od karawanu i postanawia sobie wylegitymować go, aby spowodować nałożenie kary, gdyby z jego powodu miał spóźnić się do pociągu. Nagle karawan rozpływa się w mgle i droga jest wolna. Wszyscy troje doznali niertelnego strachu, każdy przekonany jest, że ktoś z nich nie wracał żywy tą drogą z powrotem. Adwokat stara się ukryć swój przestach i dodaje odwagi żonie, która w najbliższym czasie spodziewa się porodu. Tłumaczy jej, że to często mgła układa się w jakieś fantastyczne figury — a może woźnica należy do ludzi miewających widzenia i on to za pomocą sugestii narzucił im swoje widzenie. Żona jednak nie może się uspokoić — na objaśnienia męża ma tylko jedną odpowiedź: „To nie tylko my, ale i konie także widziały ten karawan!“

Adwokat jest człowiekiem trzeźwym i nie wierzącym w żadne nadprzyrodzone zjawiska. Opowiada jednak kilku znajomym swoją przygodę, gdy następnego dnia znalazł się w swoim domu w mieście. Jeden ze znajomych prosi go, aby niezwłocznie przy nim dokładnie opisać przebieg tego widzenia. Adwokat robi to i spisana relację podpisaną przez świadków zamyka w swoim biurku. Następnego dnia zapada na jakąś gwałtowną chorobę i w ciągu trzech dni umiera.

To widzenie z tego względu zasługuje na uwagę i zajmuje odrębne miejsce w długim szeregu szczegółowo opisanych innych widzeń, że zachodzi tu prawie nigdy dotychczas nie stwierdzony wypadek widzenia zbiorowego i w dodatku widzenia, które spadło również i na zwierzęta, gdyż według relacji adwokata, potwierdzonej przez woźnicę, konie same nagle przeszły z kłusa w stęp, jakby zauważyły jakąś przeszkodę na drodze.

CZY MOŻNA UNIKNĄĆ PRZEZNACZENIA, OBJAWIONEGO W WIDZENIU?

W pewnej wsi Pomorza niemieckiego mieszka kobieta, która miewa widzenia. Razu pewnego kobieta ta zwierzyła się miejscowemu pastorowi, że miała widzenie, iż z budynku szkolnego wyjdzie kondukt pogrzebowy, któremu towarzyszyć będą dwaj chłopcy szkolni, śpiewając pewną pieśń pogrzebową, którą kobieta również dokładnie określiła.

Pastor nie wierzy w widzenia i walczy z całych sił z tym „przesądem“ wśród swoich parafian. Wyśmiewa więc kobietę i robi jej wyrzuty, że swoimi zabobonami wywołuje niepokój we wsi.

A teraz przytaczamy sprawozdanie, jakie napisał pastor w związku z tym wydarzeniem, oświadczając, że zeznanie to składa tak jak pod przysięgą.

„W tydzień po rozmowie z kobietą umiera nagle w karczmie gminnej jakiś nieznany żebrak. Sołtys, nie wiedząc o niczym, poleca ustawić trumnę ze zwłokami żebraka w sali szkolnej, która z powodu feryj świątecznych stała pusta. Ponieważ chciałem wykazać, że widzenia są przesądem i nie sprawdzają się, umówiłem się z grabarzem, że sam wybierze ludzi do niesie-

nia trumny. Kobieta wymieniła bowiem nazwiska tragarzy, którzy rzekomo poniosą trumnę. Postanowiliśmy tedy postarać się o innych ludzi do tej posługi. W ostatniej chwili okazało się, że żaden z zamówionych przez sołtysa ludzi nie mógł przyjechać do niesienia trumny. Każdy z nich przysłał natomiast zastępcę. Przysłani zastępcy byli właśnie tymi, których wymieniła kobieta.

Pozostała jeszcze kwestia chóru pogrzebowego i pieśni. Kobieta powiedziała, że śpiewać będzie tylko dwóch chłopców, co wydało mi się dziwne, gdyż nawet na najuboższy pogrzeb wyznacza się conajmniej czterech chłopców z chóru szkolnego. Tym razem wezwałem na pogrzeb cały chór szkolny. Lecz i tutaj nie udało się zmienić widzenia kobiety. Mimo katerycznego wezwania, stawili się tylko dwaj chłopcy, reszta usprawiedliwiła niemożność zjawienia się różnymi przyczynami.

Pragnąłem przynajmniej ostatni „zrzegół” widzenia zmienić i zabroniłem chłopcom surowo, aby nie zaintonowali pieśni wspomnianej przez kobietę. Jakież było jednak moje zdziwienie, gdy nad grobem właśnie tę pieśń zaczęli śpiewać. Zapytani po pogrzebie, dlaczego to zrobili, odpowiedzieli mi, że tak jakoś się stało, iż nie zdając sobie sprawy co czynią, zaczęli właśnie śpiewać tę pieśń — zresztą najczęściej śpiewaną nad grobem“.

JACY LUDZIE MIEWAJĄ WIDZENIA?

Dla nauki bardzo ważną rzeczą było stwierdzenie jacy to ludzie miewają dar widzenia faktów, które zdarzają się dopiero w przyszłości. Czy są to ludzie całkowicie normalni, czy też ludzie obciążeni takimi lub innymi ułomnościami fizycznymi lub psychicznymi.

Otóż okazało się, że są to przeważnie ludzie całkowicie i pod każdym względem normalni. Tylko w nielicznych przypadkach, i to tylko u kobiet, zaobserwowano skłonność do hysterii. Co więcej, ludzie „widzący” są najczęściej ludźmi bardzo trzeźwymi i nie wierzącymi w żadne zabobony. Jeśli kryją się ze swoimi widzeniami — a to najczęściej ma miejsce — najbliższe otoczenie nie wie o ich tajemniczych zdolnościach.

Nie stwierdzono również by dziwny ten dar pojawiał się częściej u kobiet niż u mężczyzn lub odwrotnie. Pod tym wzglę-

dem panuje — jak się zdaje — zupełne równouprawnienie. Natomiast, jak już wspomniano, dar widzenia jest często dziedziczny.

Jest również niezależny od stopnia inteligencji i od stanowiska społecznego. Ludzi widzących spotkać można w każdym środowisku i na wszystkich szczeblach drabiny społecznej — zarówno wśród biednych robotników wiejskich jak i we dworze i wśród inteligencji, zajmującej wysokie stanowiska. Byli nawet wybitni uczeni, którzy miewali widzenia. Najczęściej jednak spotyka się ludzi widzących wśród mieszkańców okolic rzadko zaludnionych, a więc wśród mieszkańców zamieszkujących przeważnie okolice górskie lub pustynne. W górskich okolicach Szkocji prawie w każdej rodzinie chłopskiej jest ktoś widzący, a w Niemczech najwięcej widzących spotyka się, wśród mieszkańców pustynnych równin nadmorskich. Alkohol, jak się zdaje, niweczy zdolność miewania widzeń, gdyż ludzie widzący, którzy popadli w nałóg pijaństwa, nie miewali więcej widzeń.

KIEDY PRZYCHODZI WIDZENIE?

Widzenia spadają na tych ludzi w różny sposób. Najczęściej zjawia się widzenie przy normalnej pracy, np. w drodze, podczas czytania, podczas pracy w polu. Nie towarzyszą temu zjawisku żadne przypadłości — żadne bóle, omdlenia ani częściowa lub całkowita utrata przytomności itp. Prostu nagle zdumiony człowiek widzi coś, będąc w pełni władz umysłowych i mając otwarte oczy. I widzi to zazwyczaj tak wyraźnie, że obraz widziany na zawsze pozostanie mu w pamięci ze wszystkimi szczegółami. Zdarza się czasem, ale niezmiernie rzadko, że człowiek nie tylko widzi, ale również słyszy, czyli że na jego oczach rozgrywa się jakaś scena, wywołując wrażenia słuchowe i wzrokowe. Przeważnie jednak widzi się obrazy nieme — zawsze jednak w ruchu. Stąd o ludziach widzących mówią często, że widują oni duchy.

Bywa jednak bardzo często i tak, że widzenie przywiązane jest do miejsca. Wtedy widzący popada w trans i udaje się szybko na miejsce, gdzie ma spaść nań jego widzenie. Nie rzadko człowiek widzący zrywa się w nocy ze snu i, tak jak

wstał z łóżka, pędzi pod nakazem tajemniczej siły na to miejsce, gdzie ma widzieć zdarzenie, które nastąpi dopiero w przyszłości. Takie widzenia dotyczą przeważnie katastrof. Znane są wypadki, że człowiek widzący odrywał się od pracy i pędził co tchu na przelaj przez pola do sąsiedniej wsi lub do jakiegoś miejsca przy drodze i tam widział pożar lub jakąś katastrofę, która w jakiś czas później rzeczywiście w tym miejscu nastąpiła.

Nic dziwnego, że w tych warunkach ludzie obdarzeni tą fatalną zdolnością, odczuwają to jako nieszczęście i ukrywają ją przed bliźnimi. Powiernikami ich są najczęściej księża, nauczyciele lub lekarze — ci jednak milczą również, gdyż widzący zwierzają się ze swego nieszczęścia tylko pod przyrzeczeniem tajemnicy.

Ludzie widzący trzymają treść swoich widzeń w głębokiej tajemnicy, chociaż wierzą, że widzenia ich się sprawdzą. Czasem tylko niektórzy, przerażony okropnością widzenia, stara się znaleźć jakiś sposób uprzedzenia zagrożonych o wiszącej nad nimi katastrofie. Robią to najczęściej za pomocą listów anonimowych, a były wypadki uciekania się do pomocy ogłoszeń w prasie.

ŚWIADECTWA WIELKICH.

Goethe pisze o sobie samym: Jechałem pewnego dnia ścieżką w kierunku Drüsenheimu. Nagle spadły na mnie jakieś dziwne, nie dające się określić przecucia, po czym ujrzałem samego siebie, jadącego tą samą ścieżką na koniu w stroju, jakiego nigdy nie miałem ani nie widziałem, mianowicie w szarym kostiumie, ozdobionym złotym haftem. Po chwili otrząśłem się z tego dziwnego stanu i widzenie prysło. Po ośmiu latach znowu jechałem konno tą samą ścieżką i miałem na sobie taki sam strój, jaki widziałem na sobie wtedy, podczas tego krótkiego widzenia, mianowicie szary kostium ze złotem haftem. Gdy znalazłem się w tym miejscu, w którym przyszło na mnie to widzenie, uprzytomniłem sobie najdokładniej owo zdarzenie z przed ośmiu lat. Muszę dodać, że ów strój przywdziałem zupełnie przypadkowo“.

Kant opisuje następujący wypadek :

„Dnia 1 września 1759 r. wrócił Swedenborg do Szwecji i o czwartej popołudniu opuścił pokład statku w Gotenbergu. Na przystani oczekiwał go jeden z jego przyjaciół, który zabrał go ze sobą do domu, gdzie gościło liczne towarzystwo. O godzinie 6-tej Swedenborg opuścił nagle towarzystwo, lecz w krótkim czasie powrócił blady i przerażony. Na pytania zaniepokojonych przyjaciół odpowiedział, że Sztokholm stoi w płomieniach. Około godziny 8-mej oświadczył, że pożar został opanowany przy trzecim domu przed jego własnym mieszkaniem. W kilka dni później ci wszyscy, którzy to słyszeli od Swedenborga, mieli możność przekonać się, że wszystko co powiedział było prawdą“.

Fontane zapisał następujące zdarzenie :

„W kościele w Jahnsfelde wisi portret pułkownika Chrystiana von Pfuel, który padł w roku 1702 podczas szturm pod Kaiserwerth. Pod portretem znajduje się napis, głoszący, że pułkownik został przez los uprzedzony o swojej śmierci. Odnosi się to do następującego widzenia, które pułkownik miał dzień przed śmiercią i szczegółowo je opisał :

Po południu dnia poprzedzającego śmierć, pułkownik wchodząc do swego namiotu zauważył ze zdziwieniem, że sztyldwach nie salutuje, natomiast na widok pułkownika pobladł jak chusta i drżącą ręką wskazał w kierunku namiotu. Pułkownik szybko uchylił zasłony u wejścia do namiotu i wszedł do środka. W namiocie stał stolik polowy a przy stoliku na krześle pułkownik ujrzał siebie samego pochylonego nad stołem i zajętego pisaniem. Nie odczuwając żadnego strachu, pułkownik podszedł do stołu, przystanął za plecami swojego sobowtóra i rzucił okiem na zapisany przez niego papier. Był to jego testament. W tym momencie postać siedząca przy biurku znikła. Pułkownik uprzytomnił sobie natychmiast, że następnego dnia polegnie. Siadł do stolika na tym samym krześle, na którym siedział przed chwilą jego „duch“ i napisał do żony list pożegnalny, dokładnie opisując w nim swoje widzenie. Następnego dnia padł na czele swego pułku“.

Tego rodzaju świadectw ludzi wybitnych i wiarygodnych możnaby przytoczyć bardzo dużo — lecz i bez tego nikt już dzisiaj nie zdecyduje się zaprzeczyć, że są ludzie, którzy miewają widzenia, i że pewne ważne zdarzenia zapowiadają swoje nadejście w ten sposób, że objawiają się niektórym ludziom. Do takich zdarzeń należy przede wszystkim śmierć. To też treścią widzeń jest najczęściej zapowiedź czyjejs śmierci.

Należy jeszcze wspomnieć, że ludzie miewający widzenia nie odczuwają żadnego strachu ani niepokoju w chwili, gdy przychodzi na nich widzenie. Oglądają je z całym spokojem, chociaż nawet treścią jego są rzeczy przerażające. Strach i niepokój przychodzą dopiero później, gdy widzenie pryśnie.

Przedruk z tygod. „*Co słysać?*“ z dnia 18 lipca 1937 r.

Rodzina starego profesora

Właśnie Marcinowa krzątała się koło przyrządzania obiadu, rzucając czasem okiem na padające za oknem płatki pierwszego śniegu, gdy energiczne i niecierpliwe dzwonicie przerwało jej tę czynność.

— Któż to taki być może, bo ze szkoły chyba nie wracają jeszcze? — mruknęła Marcinowa; otarła szybko ręce i poszła otworzyć. We drzwiach, przez które zaczął „fruwać“ śnieg do wnętrza, ukazał się Kazik bez książek z jakimś panem w okularach, z teczką w ręce.

— Pani Marcinowa, pan doktor z gimnazjum życzy sobie zobaczyć się z naszym panem profesorem, — rzekł student. — Niech pani Marcinowa wprowadzi pana doktora, bo ja muszę lecieć z powrotem. Mamy jeszcze dwie godziny.

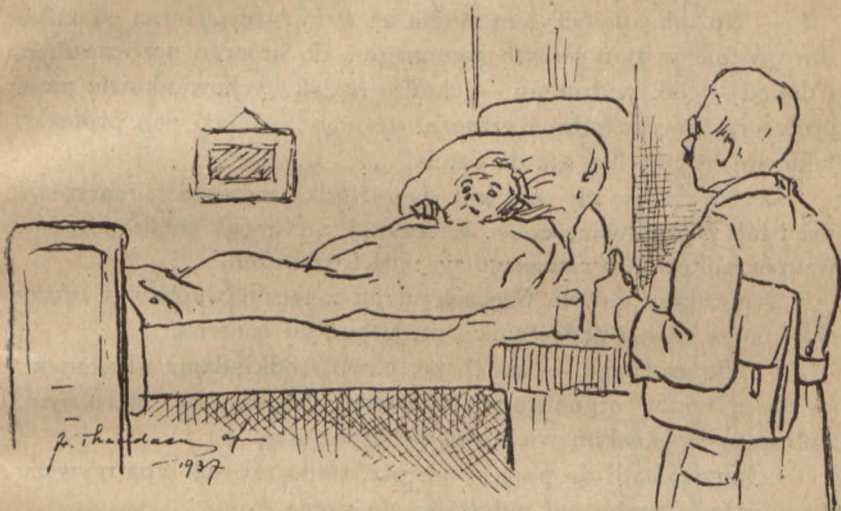
Uklonił się zamaszyście lekarzowi i po chwili zadudnił po schodach.

— Jakże się czuje pan profesor Purzycki? — spytał przybyły.

— Naprawdę to już źle z nim, — odparła gospodyni — podobno serce i cosik tam jeszcze. No starość, to i nie dziwota. Ale proszę do pokoju pana profesora, proszę.

Otworzyła drzwi do sypialni chorego. W głębi na łóżku poruszała się niespokojnie starcza głowa, łysa, o pomarszczonej, żółtawej twarzy, a błyszczące gorączką oczy zatrzymały się na nieznajomej postaci.

Lekarz ruszył szybko naprzód i, stanąwszy koło chorego, przez kilka sekund wpatrywał się weń badawczo z poza szkielec.



...przez kilka sekund wpatrywał się woń badawczo.

Nie rzekł nawet zwykłego słowa przywitania, jakby oczekując pierwszych słów z ust leżącego. Ale staruszek, zdawało się, że w ogóle nie myślał o przybyłym. Odwróciwszy się bowiem, leżał teraz bez ruchu i z taką uwagą patrzył w sufit, jak gdyby tam coś ciekawego zobaczył.

Tak zwykł się człowiek zachowywać, gdy chce sobie coś przypomnieć i kiedy mu to z trudnością przychodzi. Ma jakieś przebłyski dawnych, zapomnianych wrażeń, ale nie na tyle jasnych, żeby je mógł rozróżnić wśród tysiąca innych.

Wreszcie doktor przerwał milczenie:

— Łaskawy pan profesor nie przypomina sobie Pawełka Częczka, tego łobuza niepoprawnego, co wiecznie gubił pióra, ołówki, zeszyty, a nawet książki w drodze do szkoły?

— Co, kto? Paweł Częczek ten, który uciekł ode mnie!? — szeptał chory i oczy zaiskrzyły się mu.

— Tak, to ja nim jestem; widzi pan profesor, co się to zrobiło z tego urwisza. Pańska praca, profesorze, nie poszła na marne, — doktor uściśnął na przywitanie jego chudą, trzęsącą się rękę. — Lecz odłożmy rozmowę na później, najpierw bowiem jako lekarz jestem obowiązany zbadać zdrowie pana profesora.

— Jakto? Częczek doktorem!? — wpadał w coraz to większe zdziwienie stary profesor.

— No tak, ukończyłem studia aż w Paryżu, a teraz od kilku dni pracuję w tym samym gmnazjum, do którego uczęszczałem, i dokąd — jak widziałem — chodzą nadal wychowankowie pana profesora. Bardzo pilni i grzeczni uczniowie. Widzi pan profesor, jakie to dziwne. No, ale do dzieła!

Leżący nic się nie odzywał, dyszał tylko nierówno i marszczył już i tak pofałdowane czoło. Widocznie nie mógł sobie poradzić w uporządkowaniu cisnącego się natłoku wrażeń.

Tymczasem doktor Częczek wyjął z teczki słuchawki lekarskie, notes i jakiś podręcznik i przystąpił do badania.

— Nic groźnego, — rzekł po chwili, odkładając słuchawki. — ale z takim organizmem i sercem trzeba być ostrożnym, zwłaszcza w pańskim wieku, panie profesorze.

Lekarz zasiadł do pisania recepty, staruszek zaś wpatrzywszy się w niego, szeptał coś półgłosem do siebie.

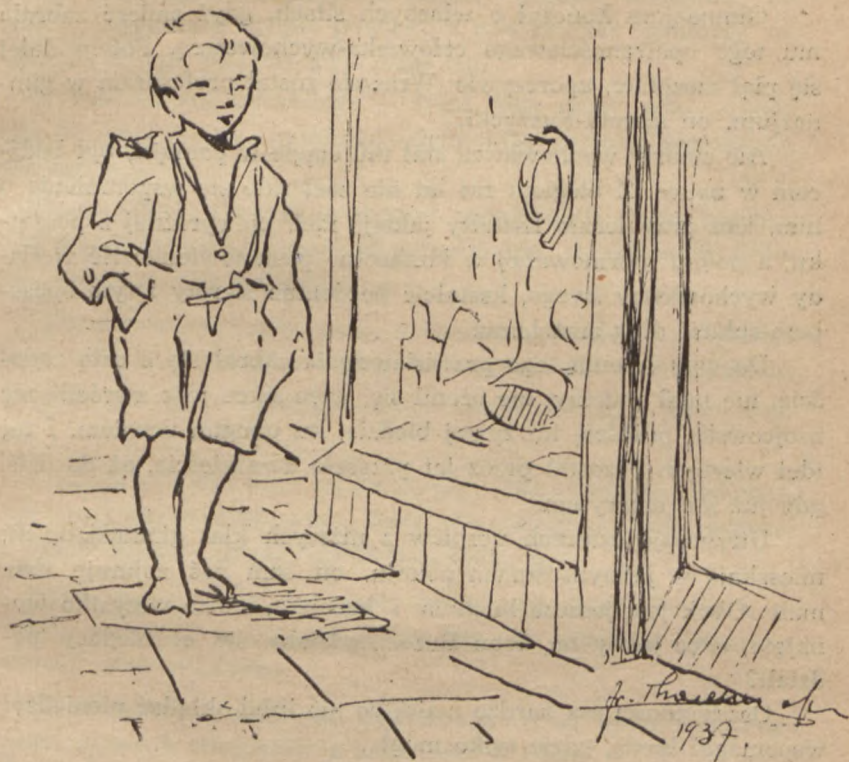
— Skończone, jutro przyniosę lekarstwo, a teraz jestem do dyspozycji pana profesora; — doktor przysunął krzesło do łoża chorego i zaczęła się serdeczna pogawędka. Znikły wszelkie dawne nieporozumienia między nimi, różnice wieku i zawodu. Rozmawiali nie jak profesor ze swym byłym uczniem-wychowankiem, ale jak dwaj przyjaciele. Rozmowa płynęła to szeptem, to półgłosem; ożywiła się, to znowu urywała nagle i tylko westchnienia starego profesora padały w uroczystą ciszę. Czasem zaś uśmiech rzewny, jakby promień słońca z za chmur pojawiał się na twarzach obu, wyrывał się z piersi okrzyk zdumienia i niedowierzania.

W końcu zamilkł głos młodego doktora i słyszeć było tylko cichy szept drżących warg chorego. Rozgadał się, odgrzebywał ze „starego lamusa“ pamięci coraz to inne wspomnienia, odświeżał je i zamieniał w drgające, urywane słowa.

Opowiadał dzieje swego ciężkiego borykania się z życiem.

Bo też niezwykajną miał przeszłość pan Antoni Purzycki, dziś emerytowany profesor, złożony na łożu niemocą.

Był sierotą nie wiedzącym, co to dom rodzinny, co to miłość matczyzna. Nie pamiętał rodziców. Przypominał sobie, że wołano na niego „Antoś” i że mieszkał u starej ciotki na przedmieściu,



...tulił się po ulicach przez kilka dni...

u której nauczył się jako tako „ślabizować”. Pamiętał i to, jak gonił po ulicach miasta, wykrzykując najbardziej sensacyjne nagłówki „Gazety Warszawskiej”, które przedtem z trudem, przy stojąc gdzieś pod latarnią, odczytywał.

Aż pewnego dnia stała się rzecz straszna. W jego młode serce uderzył grom! Ciotka, — ta jedyna jego opiekunka, jedyna mu bliska osoba, — zasłała nagle i zmarła. Małego chłopaka smagnęło wtedy bezlitosne życie. Znalazł się oko w oko z groźną rzeczywistością. Sam. Płakał żałośnie... Wygnany, z wynajmywa-

nego przez śp. zmarłą, pokoiku, tułał się po ulicach przez kilka dni, jak... — eh! co tu wspominać te czarne chwile.

Przecież przyszły lepsze. Jakiś profesor-staruszek zaopiekował się nim i biedak zaczął uczęszczać do szkoły. Uczył się, więc weszło trochę pogody do jego serca sierociego.

Gimnazjum kończył o własnych siłach, gdyż śmierć zabrała mu tego opatrnościowego człowieka-wychowawcę. Potem dalej się piał mozolnie, uporczywie. Wreszcie został profesorem w gimnazjum, on sierota-Purzycki.

Ale zmarły wychowawca stał mu ciągle w pamięci, był bodźcem w nauce. Z biegiem zaś lat nie zacierało się wspomnienie o nim, lecz przybierało kształty jakiejś idei, niewyraźnej z początku, a potem uformowanej w konkretne postanowienie: iść w ślady wychowawcy swego, kształcić bezdomne sieroty i tym sposobem spłacić dług zmarłemu.

Do wypełnienia tego przedsięwzięcia zabrał się z całą radością, nie miał rodziny, nie ożenił się, więc serce jego zwróciło się z ojcowską miłością ku żywej biedzie, ku ubogim uczniom. I tej idei wiernym pozostał przez lat przeszło dwadzieścia, aż do dziś, gdy już jest emerytem.

Utrzymuje czterech uczniów z niższych klas gimnazjalnych; mieszkają w jednym dużym pokoju, on sam zaś zajmuje dwa małe. Obok jest jeszcze kuchnia i łazienka, ale to wszystko wynajęte, więc jakby on, broń Boże..., gdzieby się ci biedacy podziiali?

Oszczędności ma bardzo mało, bo nie lubił składać pieniędzy: wspomagał biedę, gdzie tylko mógł...

Ci uczniowie jego to malcy, nie daliby sobie jeszcze rady sami w życiu. Kazik tylko zarabia coś niecoś korepetycjami. Poza tym cały ciężar ich utrzymania spoczywa na jego starczych barkach. A podjął się nieść ten ciężar bez względu na to, czy mu wychowankowie kiedyś wdzięczni będą, czy choć wspomną o nim po jego śmierci, pomodlą się... Czynił to dla swej idei i jedyną przyjemnością dla niego, jakby zapłatą, było to, że gdy wieczorem uczniowie przerabiali lekcje, mógł przysłuchiwać się ich „bębnieniu na pamięć“ słówek i przypatrywać się ich pisaninie.

Bardzo często pomagał im do późnej nocy w uczeniu się, cieszył się z nimi, gdy im nauka szła dobrze i zachęcał do pilniejszej

pracy, kiedy który otrzymał złą notę. Jednym słowem żył ich życiem, podzielał ich radości i smutki, troski i kłopoty. Był im ojcem... matką...

Profesor Purzycki umilkł i leżał bez ruchu z oczyma błyszczącymi, z dyszącą wzruszeniem piersią. Ciężko westchnął po chwili i przymknął szybko powieki, z pod których spłynęły na wychudłe, zmięte policzki dwie duże łzy.

— Tak mi żal odchodzić, — drgał jego cichy głos — choć czuję, że misję swoją spełniłem... Żeby przynajmniej gimnazjum mogli ukończyć...

Młody doktor Częczek popatrzył badawczo w twarz profesora, jakby chciał z niej wyczytać dokończenie myśli, wpół tylko wypowiedzianej przez chorego.

Potem zmarszczywszy czoło, rozważał coś głęboko, walczył sam ze sobą. Nastąpiło długie, przykre i ciężkie dla obu, milczenie.

W końcu padły stanowcze, ostre, wśród tej ciszy słowa doktora.

— Rozumię, dobroczyńca... rozumię... Tak... Dobrze, podejmuję się dalej ich wychowywać... Bądź pan spokojny, panie profesorze, jakże bowiem inaczej odwzięczyłbym się...

Chory poruszył się nerwowo, twarz jego skurczyła się w uśmiechu szczęścia; wyciągnął drżącą rękę do młodego człowieka. Ucisnęli sobie prawice...

W tej chwili zaterkotał dzwonek i — do pokoju chorego wpadło czterech studentów z książkami w ręku.

— Laudetur Jesus Christus! Dzień dobry panu profesorowi! — zawołali chórem od progu i zatrzymali się przy drzwiach na widok lekarza z ich gimnazjum.

— Oto moja rodzina! — szepnął wychowawca, patrząc na nich z uśmiechem zadowolenia.

Malcy podeszli bliżej i zamasyżycie, po harcersku szurgnęli nogami przed gościem.

Młody doktor, podając tym młodzikom rękę, lustrował ich badawczym okiem lekarza-psychologa. Może wybierał z pośród nich następcę, któryby po nim opiekował się tą wielką, — obej-

mującą tylu bezdomnych sierót, rozprószonych po całym kraju, — „rodziną starego profesora“.

Za oknami padał jeszcze pierwszy śnieg, zwiastun zbliżającej się srogiej zimy.

W. Miziniak.

Pana Knopfloch Jojny żywot bogobojny, za Jehowy łaskiem z wierszem i obrazkiem

Napisał: *Konstanty Krumulowski.*

Ilustrował: *Józef Kruszewski.*

I.

Znany od lat wielu był i jest i będzie
Zacny ród Knopflochów; siedział na arendzie,
Handlował ze wszystkim z wysmienitym skutkiem,
Z bardzo cienkiem piwem, z bardzo mocnem wódkiem,
Bo miał propinację na trzy wsi jedyną.
Robiał interesa i z chłopską pierzyną,
Czasem zafantował jakie krowy dojne...
Na to wszystko dobrze patrzył młody Jojne.
A nauka chłopcu przychodziła letko
Umiał chłopu pisać już podwójną kredką —
Gdy dorósł — z popędu swej wschodniej natury
Kupował kradzione jaja albo kury.
Ród jego czczył talmud — nienawidził „goja“,
Znał trochę kryminał... Ale „to rzecz swoja“
Jak ojciec nieboszczyk — tate Knopfloch mawiał.
Lecz kiedy starego „ślag niezdrowy zawiał“
I poszedł na łono Ojca Abrahama,
A w ślad za nim poszła i od Jojny mama,
Został biedny purec samotny jak palec,
Lecz, że chłopiec serce miał jak gęsi smalec,
Wnet poślubiał sobie zezowatę Surkę
Co od podrabinka była siódma córke.
Siał dalej cebulę na tej samej grzędzie
I na tej co ojciec szachrował arendzie.

II.

W niedzielę po Sumie przychodzi chłop głupi —
 Niechże się zabawi, niechże go żyd złupi!
 Krąży flaszką w koło — piją gospodarze,
 Dał jeden kolejkę — zaraz drugi każe.
 Sąsiad do sąsiada, kum z kumem przeciwno,
 Arak i wódeczka — wódeczka i piwko!



Uwija się żydek między nimi chudy,
 Gospodarzom jeszcze karty dawszy wprzód.
 Niech przy ich zabawie zarobi po trosze,
 Od każdej partyjki tylko po 2 grosze!...
 Przez żydowskie karty, żydowskiego sznapsa,
 Niejeden gospodarz zeszedł całkiem na psa.

III.

Pana Knopfloch Jojne ten zaszczyt zaszczyca,
 Że jest zaproszony do sam Pan Dziedzica.
 Jaśnie Pan w fotelu z fajką sobie dmucha,
 Jojne czuje wielki respekt dla cybucha.
 A więc z odległości należytnej osobie
 Pragnie znać, co Jaśnie Dziedzic życzy sobie?

Jaśnie Pan znów dmuchnął: tego — bagatelka
 Chcę ci dać zarobić — suma jest niewielka....
 Tego — dam procencik... Czy rozumie Jojne?
 Żyd odparł: Niech Jaśnie Pan będzie spokojne,
 Ile trzeba będzie dam do Jaśnie rączek.
 A Pan bąknął: Głupstwo tych parę tysięcy



I wytrzepał popiół — żyd dostał pulares
 I z niskim ukłonem złożył na stół „bares“.
 Dziedzie dzisiaj jeszcze do Paryża jedzie,
 Jojne z swoją Surką wieczór zje dwa śledzie.

IV.

Jojne zajął krowę co mu wlaźła w trawnik
 I choć żyd zwyczajny nie „mecenarz — prawnik“,
 Przeprowadził cały proces jak po mydle,
 A za same kosza zajął chłopu bydlę,
 I na licytacji sam je kupił potem.
 Ucieszony sprawy pomyślnym obrotem
 Sam wyciąga krowę z wieśniaczej obórki,
 Z ogromnym rozkoszem swej kochanej Surki.
 Chłop żyda pomstuje i zawodzi baba

Lecz litość u Jojny nie jest strona słaba.

— „Niech sobie piskujom polskie chłopcy głupie,
Ja znam paragrafy i mam rozum w kupie“!...
Za nim dla asysty sekwestrator kroczy



I oni dwaj tylko mają suche oczy,
Bo inni z pełnymi łez stoją oczyma
Lecz łzy i przekleństwo żyda się nie ima.

V.

Jaśnie Pan powrócił w przepysznym humorze,
I znów „konferencję“ z Jojną ma we dworze.
Paryskim cygarkiem raczy żyda hojnie
I o cudach świata opowiada Jojnie.
Wiedeń, Paryż, Karlsbad — masz pojęcie żydzie
Jaki szyk, bogactwo, jak tam życie idzie!
A jakie kobietki!... fakt, że warte grzecha.
— Jojne z nogiem kiwa, Jojne sze uśmiecha,
Jojne tak powiada do Jasnego goja
„Psiepraszam, a co tam robi rate moja“?
Dziedzica przebiegło coś tak jakby dreszcze,
Lecz żyd uspokaja: Ja zaczekam jeszcze,

Ja jestem uczynny — dla mnie bagatelka
 Dapożyczę jeszcze do tego wekselka.
 Pan dostał pieniądze — dał weksel na zgodę
 I łaskawie żyda potargał za brodę.
 I kazał zaprzęgać do paryskiej czwórki,
 A Jojne piechotą powrócił do Surki.



VI.

Ja tu Pan, ja Dziedzic — ja szedzę w pokoju
 A ty zaraz za drzwi winosz mi sze goju
 Ja tu z urzędową przichodzę osobą
 Ja nie potrzebuję mieć Interes z tobą!
 — Ja cię tu nauczę! — ryknie Dziedzic — żydzie!
 „Proszę Pana bardzo, niech Pan sobie idzie
 Wtrącił sekwestrator, bo tu je komisja
 Z Sądu nakazana; tu mam akt: eksmisja!“
 Dziedzic zaś obtarłszy załzawione oko,
 Uczuł do Ojczyzny urazę głęboką:
 „Więc na nic z zasługą, na nic z krwią szlachecką!...
 Na kanapie tłumi się żydowskie dziecko,
 Pałac cały przejdzie cebuli zapachem“...
 Wyrzucany Dziedzic myśli nad tym z strachem,

Z dawnych mu pamiątek nie zostało wiele
 Bierze miłą fajkę — starą karabelę,
 Na której wyryty znak Świętego Krzyża
 I tę torbę, z którą jeździł do Paryża!



VII.

Żemski „obiwatel“, istota szczęśliwa!
 Czyta sobie „Naprzód“, w fotelego kiwa
 Cygara hawańskie w tłustą gębę wtyka.
 A z lornetkiem obok Jaśnie „Dobrodzika“,
 Widokiem się dzieciów z cmokaniem zachwyca,
 Z którymi parluje bona — francuzica,
 — Kikste!? — rzekł, zwracając wzrok swój rozjaśniony,
 Nowy dziedzic w stronę swej kochanej żony:
 U nas wszystko nobel do ostatniej nitki,
 I nikt dziś nie pozna, co mi byli żydki,
 — Tak jest drogi Jojne, Sura odpowiada,
 Jak gdybyśmy byli szlachta z pra-pra-dziada.
 — Nazywaj mnie Juliusz... To „Jojne“ za głupie,
 O szlachectwo mniejsza... Ja szlachectwo kupię,
 I w pałac nasadzę sto herbowych znaków....
 Przechodziła właśnie gromadka wieśniaków,

Chłop tu nie pozdrawia dziedzica jak wszędzie,
 Zamarło im w gardle pobożne „niech będzie“
 W imię Boże pana tego — nie pozdrowi,
 W milczeniu czapkuje „Jaśnie Dżidzicowi“.



VIII.

Cały kwiat żydowstwa czeka zgromadzony :
 Ader, Bader, Pipes, Wolf i cztery Kohny,
 Hajes, Fuchs, Margulies, trzy sztuk Vaternachty,
 To reprezentanci „szmietanki od szlachty“,
 Po tym przedstawiają już zwyczajne mleka:
 Margiel, Kwargiel, Hering i rodzina Drecka,
 Wreszcie pozostaje wyliczyć z ostatka
 Eisen, Bas i Widrich — niby jak serwatka;
 Wszyscy naszej wiary — wszyscy jednej miszli,
 Pośła tu przywitać solidarnie prziszli.
 A gdy wreszcie wyszedł poseł z wielkim brzuszkiem,
 „Wiwat“ zakrzyknęli wszyscy jednym duszkiem,
 On im z kapeluszem z pod serca sze kłania

I mówi, że chciałby zjeść z nimi śniadania,
 „Wiwajt“ krzikiem naszym cała masa
 A on ich zaprosił na śledzia do Frassa!



IX.

Z okazji posiedzeń i przeróżnych ankiet,
 Pan poseł wydaje dla ministrów bankiet.
 Kto tam był? czy może pan sobie zapitasz?
 Każdy co sze ino nazywa „dygnitarz“,
 Minister i kontrol-seksionsszef... Rzecz prosta,
 Że na szarym końcu siedział już starosta.
 Wszyscy z tym przyjęciem byli zachwyceni,
 Może pan zapitasz jakie było „menu“?
 Nie! już nie wyliczę tegi wszystko chyba
 Dość, że była także po żydowsku ryba!
 Co pan poseł mówił? aj! waj! płakać chce się,
 Wun mówił, co teraz żyjemy w okresie;
 W ten sens sze wiwnętrzniał i tak dalej, dalej,
 Że z kontentowania aż wszyscy psykali.
 Ja już nie pamiętam, ale zdaje mi się

Skończył staropolskim naszym „Kochajmy się!”
 Trzeba było wiedzieć co tam się wyrabia!
 Aż mu lewą rękę podał jeden hrabia,
 Drugi go poklepał i nazwał „kolegą”,



A trzeci pożyczył dziesiątkę od niego.
 Takie to zaszczyty, klepania, pochwały,
 Spadły na grzbiet jego — a z nim na kraj cały.

X.

Te są proszę państwa życiowe koleje,
 Które wun przyjechał — to są jego dzieje,
 Które potomności na papier podajem,
 Teraz do widzenia z Państwem :

Szulem! hajem!

ŚMIEJMY SIĘ

DZISIEJSZE DZIECI.

Mamusia smarzy pączki i uwija się koło kuchni. Jaś tawarzysta jej wszędzie. Wreszcie robi minę kochaną i odzywa się:

— Mamusiu, czemu mamusia nic do mnie nie mówi?

— A cóż mam mówić? — pyta matka. Widzisz, że nie mam czasu. Zresztą, cóż mam mówić?

— A mogłaby się mamusia zapytać przecie: „Jasiu, chcesz pączka?“.



KŁOPOTLIWA ODPOWIEDŹ.

(Prawdziwe).

W jednej szkole we Lwowie, zdawali uczniowie wstępny egzamin. Profesor polonista męczy się długo i nie może wydobyć uczciwej odpowiedzi od ucznia. Wreszcie zirytowany pyta go:

— Miałeś lekcję?

— Miałem.

— Co za tuman cię przygotowywał?

— Pan profesor N. N. — odpowiada uczeń z powagą.

UDEKOROWANY.

- Za co pan radca dostał te trzy ordery?
 — Trzeci dostał dlatego, że miał już dwa — drugi dlatego, że miał już jeden.
 — No a ten pierwszy?
 — Dlatego, że nie miał jeszcze żadnego.
 — hm!



BRAK UWAGI.

- W pewnym biurze pokłóciło się dwóch urzędników:
 — Osioł z pana!
 — Pokaż mi pan większego osła od siebie.
 — Hola! — woła wchodząc naczelnik — panowie zapomnieli, że ja jestem między wami.

WESOŁY KĄCIK.

— Co to jest łapówka?

— Załącznik do podania.

ANEGDOTA.

Pewien proboszcz wyjeżdżał na wakacje. Gospodyni pakowała mu rzeczy, a on tymczasem jeszcze raz obchodził całe gospodarstwo. Przechodząc przez sad z radością zauważył, że tego roku jego ulubiona jabłoń bogato obrodziła.

— Jak wrócę to akurat będą jabłka dojrzałe. Złote jabłka — rzekł do siebie.

Lecz w tej chwili przyszło mu na myśl, że w jego nieobecności mogą się złodzieje zakraść i zerwać. Zmartwił się.

— Co tu robić?

— Już wiem — zawołał. Pobiegnął do domu i po chwili obok jabłoni wbił słupek, a na nim umocował deskę z napisem:

„Nie kradnij, bo Pan Bóg widzi“!

Uspokojony — wyjechał. Po miesiącu wraca i pędzi najpierw do ogrodu.

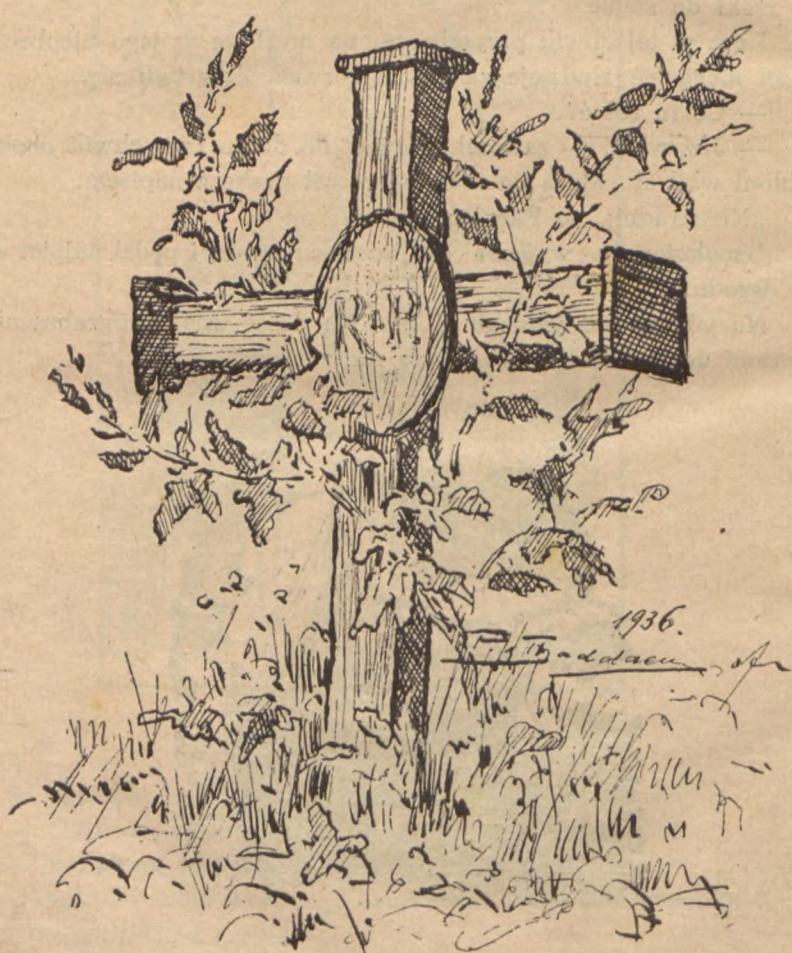
Na jabłoni ani jednego jabłka. Na desce zaś niezgrabnymi literami dopisał ktoś: „Widzi, ale nie zdradzi“.



TESTAMENT MÓJ

Raz ostatni.....
 W sposób bratni,
 Proszę święcie,
 W testamencie,
 By nie zgasto
 Zbawcze hasło,
 Co z krwi i z Wiary wynika :
 „KUPUJ TYLKO U KATOLIKA“!

O. ANTONI.



W Polsce wychodzą następujące pisma w duchu św. Franciszka z Assyżu :

1. DZWONEK III ZAKONU

— miesięcznik, prenumerata roczna 2.50 zł. — adres: Lwów,
OO. Bernardyni.

2. RYCERZ NIEPOKALANEJ

— miesięcznik — adres: Niepokalanów, p. Teresin k. Socha-
czewa. Prenumerata roczna 1.50 zł.

3. RYCERZYK NIEPOKALANEJ

— adres jak wyżej — prenumerata 0.80 zł (dla dzieci).

4. SZKOŁA SERAFICKA

— miesięcznik — adres: OO. Franciszkanie, Panewnik, p.
Katowice — prenumerata roczna 2.50 zł.

5. GŁOS ZIEMI ŚW.

— kwartalnik — adres: OO. Reformaci, Kraków, ul. Refor-
macka 4 — darmo.

6. POCHODNIA SERAFICKA

— adres: OO. Franciszkanie, Kraków, pl. W. W. Świętych 5
— prenumerata roczna 2 zł.

7. POSŁANIEC ŚW. ANTONIEGO

— adres: Lwów, Janowska 66, Klasztor OO. Reformatów —
— prenumerata roczna 2 zł.

8. WIADOMOŚCI TERCJARSKIE

— 3 zeszyty rocznie, wydawnictwo Rady Gł. III Zakonu św.
Franciszka — adres: Rada Główna Tercjarska, Kraków,
pl. W. W. Świętych 5.

9. POKÓJ I DOBRO

— miesięcznik — adres: Kraków, ul. Loretańska L. 11 —
prenumerata roczna 1.40 zł.

4549

CZASOPISMA

1938

W redakcji Pośłańca

we Lwowie, ul. Jana

w Klasztorze OO

Kraków, ul. Re

SĄ DO NABYCIA NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:

Cierpiący Zbawiciel tł. Hilary Jarosiewicz, Z. B. M.	1.—
Droga Krzyżowa czyli Stacje Jerozolimskie oraz Gorzkie Zale	0.50
Jezus Eucharystyczny naszym podczas ziemskiej podróży przewodnikiem. Sześć kazań o Najśw. Sakramencie przerobił z niemieckiego O. Ireneusz Kmiecik Z. B. M.	2.—
Misje Ludowe przez O. I. Kmiecika, Z. B. M.	10.—
Nauka badaczyw Posma Św. przez O. Dr. Wasilkowskiego Z. B. M.	0.50
Pobożne Stow. do św. Antoniego	0.40
Praktyczne wskazówki o wychowaniu dzieci przez O. I. Kmiecika Z. B. M.	2.—
Śladami św. Franciszka tł. O. C. Firszt, Z. B. M.	1.—
Św. Antoni Pad. Wzór dla młodzieży przez O. I. Kmiecika Z. B. M.	1.—
Św. Antoni Pad. Zwierciadło cnót przez O. I. Kmiecika, Z. B. M.	1.—
Trzy sztuczki sceniczne o św. Antonim: Padre Antonio, Przyjaciół i Zbłąkane Serece, przez Z. Głosównę	1.—
Żywot św. Franciszka przez O. F. Szczepanika, Z. B. M.	1.—
Żywot św. Antoniego Padewskiego przez O. F. Szczepanika, Z. B. M.	1.—
Przewodnik po Ziemi Świętej	7.—
Głos Ziemi św. (kwartalnik). Prenumerata (datki dobrowolne na Ziemię Świętą).	